

MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 43.

WARSZAWA, 20 PAŹDZIERNIKA 1935 R.

CENA NUMERU 80 GR.

SEJM BEZ JUTRA

PODDAWANO już wielostronnej analizie przebieg ostatnich wyborów sejmowych i pisano nieco o składzie zawodowym nowego Sejmu. Jest jednak w tym Sejmie jeszcze jeden rys charakterystyczny, na który warto zwrócić uwagę, gdyż rzuca wiele światła na jego oblicze. Chodzi mianowicie o ugrupowanie posłów według wieku. Wiek człowieka waży bardzo silnie na jego temperamencie, nastrojach, skłonnościach, tendencjach przekonaniowych. Radykalizm młodości i konserwatywne nawyki starych, to tylko logiczne następstwa wieku. Szczególnie zaś w dobie obecnej, gdy całe nasze życie zbiorowe znajduje się w stadium płynności i różnice psychologiczne między pokoleniami zarysowują się tem ostrzej, że łączą się także z kwestją materialnego bytu — pytanie, w jakim stopniu odbija się rzeczywistość w tem zwierciadle społeczeństwa, jakim winno być jego przedstawicielstwo, nabiera szczególnego znaczenia.

Bo jeśli nowy Sejm nie obejmuje ogromnej większości narodu i ludzie zasiadający w nim mogą reprezentować nastroje tylko pewnych odłamów i grup, to jest to już pewnego rodzaju przyrodzone kalectwo. Kalectwo to jednak jeszczeby się bardziej zwiększyło, gdyby się pokazało, że nawet w tym ograniczonym zakresie zwierciadło sejmowe nie może dać choćby przybliżonego obrazu rzeczywistości, gdyż odbija nadmiernie silne nastroje i dążenia pewnego tylko pokolenia, inne zaś — już bez względu nawet na swoje nastawienie polityczne, nawet w ramach orientacji prorządowej — nie znalazły w niem należytego miejsca. Zarówno dla działań parlamentu, jak i dla jego roli jako informatora rządu o nurtujących zbiorowość prądach, tego rodzaju jednostronność, powodując dalsze jeszcze wykrzywienie obrazu, musi się okazać bardzo w skutkach opłakana.

Nie mamy możliwości (ponieważ nie zostały dotąd ogłoszone) zaczerpnąć, dla przeprowadzenia

porównania, dat personalnych odnoszących się do ostatniego Sejmu. Rozporządzamy jednak takimi datami dla Sejmu z kadencji 1928 — 1930. Grupując 444 posłów Sejmu z r. 1928, oraz 206 posłów Sejmu obecnego w 5-letnie klasy wieku — i dla uzyskania jednolitej podstawy porównawczej pozostawiając na uboczu, przy obliczaniu procentowych stosunków, grupę najmłodszą (25 — 29-letni), która obecnie utraciła bierne prawo wyborcze — otrzymujemy następujące cyfry absolutne i procentowe:

Lat	Ilość posłów 1928	Ilość posłów 1935	Stosunek procentowy 1928	Stosunek procentowy 1935
25 — 29	15	—	—	—
30 — 34	71	8	16,6	3,9
35 — 39	97	43	22,6	20,9
40 — 44	95	76	22,1	36,9
45 — 49	86	42	20,0	17,9
50 — 54	42	29	9,8	14,1
55 — 59	26	12	6,1	5,8
60 i więcej	12	1	2,8	0,5
Razem	444	206	100,0	100,0

Jak widzimy, skład Sejmu z r. 1928 był pod względem wieku dość równomierny: na trzy grupy reprezentujące okres dojrzały w życiu ludzkim (35 — 49-letni) przypadały niemal identyczne cyfry, niewiele od nich słabsza była grupa 30 — 34-letnich, stopniowe zaś zmniejszanie się udziału roczników starszych (powyżej pięćdziesiątki) oraz słaby stosunkowo udział roczników najmłodszych (poniżej 30 lat) tłumaczyły się same przez się tem, że pierwsi stopniowo już wychodzili z życia aktywnego, a drudzy dopiero się w niem wybijali. Jeśli byśmy całą ludność, posiadającą bierne prawo wyborcze (t. j. od 25 lat w górę), liczącą w r. 1928 okragło 13 milionów, podzielili na analogiczne 5-letnie grupy i obliczyli ich procentowe udziały, przy-

padłoby na najmłodszych (poniżej 30 lat) około 20 proc., na najstarszych (powyżej 60 lat) około 16 proc.; a zatem oba te bieguny były w Sejmie reprezentowane mniej więcej 6 razy słabiej niż w życiu. Z pomiędzy 6-ciu pozostałych 5-letnich grup (30 — 59-letni) najmłodsza (30 — 34 lat) i dwie najstarsze (50 — 59 lat) stanowiły razem wśród ludności mającej bierne prawo wyborcze 32 proc., a w Sejmie również 32 proc.¹⁾, czyli, że skład Sejmu był tu zupełnie wiernym odbiciem stosunków istniejących w życiu. Trzy wreszcie grupy środkowe (35 — 49-letni) stanowiły wśród ludności również 32 proc., a w Sejmie 62 proc.; a zatem te roczniki, reprezentujące największą aktywność życiową, wchodziły w skład Sejmu w stopniu blisko dwukrotnie silniejszym, niżby wypadało z proporcji ludnościowej.

Był to układ naturalny i zupełnie logiczny, wykazujący, że choć pozbawione specjalnej opieki na punkcie doboru kandydatów, społeczeństwo umiało jednak organicznie wyłonić z siebie takie przedstawicielstwo, które z Sejmu czyniło prawdziwe odbicie rzeczywistego życia. Jak wielkie znaczenie ma dla skutecznej działalności parlamentu takie równomierne rozłożenie mandatów między różne pokolenia, aby te grupy, które najwięcej mają do powiedzenia w życiu, miały także najsilniejszy głos w parlamencie i aby z drugiej strony istniała pewna równowaga między tymi najstarszymi, którzy konserwują zdobycze dnia wczorajszego, tymi dojrzałymi, którzy budują dzień dzisiejszy i tymi najmłodszymi, którzy są wołaniem jutra o nowe potrzeby i nowe drogi — nie potrzeba udowodniać. I gdybyśmy podobną analizę przeprowadzili także co do innych ubiegłych kadencji sejmowych, przekonalibyśmy się, że i tam panowała ta zdrowa, naturalna równowaga.

A w Sejmie obecnym? Dwa rysy zasadnicze uderzają tu przedewszystkiem: niezwykle niski udział grupy najmłodszej (30 — 34 letni), przeszło 4 razy słabszy niż przed 7 laty, oraz nieproporcjonalnie silny udział grupy 40 — 44 letnich. Niemal zupełną nieobecnością świeci również najstarsze pokolenie (powyżej sześćdziesiątki), co się jednak wyrównuje silniejszym udziałem 50 — 54 letnich, tak że warstwy społeczne od 45-go roku wwyż są naogół reprezentowane w tym samym co i dawniej stosunku. Natomiast zagarnięcie lwiej części mandatów przez wspomnianą wyżej grupę, odbyło się kosztem grup młodszych, — poniżej 40-tu, a zwłaszcza poniżej 35-ciu lat.

Jeszcze wyraźniej wystąpią te objawy, jeśli zamiast grup 5-letnich (które nieco zacierają obraz) rozpatrzmy sytuację wedle poszczególnych roczników. Przekonamy się wówczas, że na 10 roczników, urodzonych w latach 1888 — 1897 (a więc 37 — 46 letnich) przypada obecnie 132 mandaty czyli 64 proc., tak że wszystkie inne grupy wieku stanowią razem tylko 36 proc., podczas gdy w roku 1928 posłowie 37 — 46 letni stanowili 44 proc. ogółu, a zatem mniejszość. Innymi słowy, gdy na 100 posłów z tych 10 roczników przypadało przed 7 laty 128 z innych grup wieku, przyczem 62 z nich należało do roczników młodszych (do 36 lat), a 66 do starszych (powyżej 46 lat), to obecnie takimiż

100 posłom odpowiada tylko 58 we wszystkich razem pozostałych grupach wieku, przyczem na roczniki starsze przypada 44, na młodsze tylko 14. Młodsze pokolenia świecą w nowym Sejmie wymowną nieobecnością.

Można jednak odpowiedzieć, że Sejm obecny, po wyeliminowaniu szeregu stronnictw, w których stosunkowo więcej było czy to posłów z grup starszych czy z najmłodszych, nie da się porównywać pod tym względem z poprzednimi. Zrobmy zatem jeszcze inny rachunek, rozpatrując osobno grupę 14 obecnych posłów z Unda i 2 posłów żydowskich nie należących poprzednio do B.B., a osobno pozostałą grupę 190 posłów, która odpowiada w sumie 133 posłom z r. 1928, wybranym na listę Nr. 1 oraz listy t. zw. Katolicko-Ludową i N.P.R. — lewicy.

Otóż wśród posłów ukraińskich przed 7 laty 43 proc. było w wieku poniżej 40 lat, obecnie ta grupa znikła całkowicie, gdyż najmłodszy poseł liczy 42 lata. W roku 1928 wśród posłów 40-letnich i starszych tylko czwarta część liczyła ponad 50 lat, obecnie — przeszło jedna trzecia (36 proc.). Widać jasno: 1) że politykę ugody prowadzą głównie posłowie „zawodowi”, którzy obecnie są starsi o 7 lat niż w roku 1928 i stąd przeszli do wyższych grup wieku, 2) że polityka ta nie ma za sobą nietylko młodzieży, ale nawet młodszej części społeczeństwa dojrzałego.

Podobnie jest i u żydów, gdzie w roku 1928 było 73 proc. posłów w wieku poniżej pięćdziesiątki, a obecnie (nawet po doliczeniu posłów żydowskich z dawnego B.B.) wszyscy są starsi ponad 50 lat. Tu także zaznacza się zdecydowany brak młodzieży.

A teraz reszta obecnego Sejmu, odpowiadająca dawnemu B.B. z przybudówkami. Analogiczny, jak powyżej dla całego Sejmu, podział na grupy daje obraz następujący:

Lat	Liczba posłów		Stosunek procentowy	
	1928	1935	1928	1935
25 — 29	4	—	—	—
30 — 34	23	8	17,8	4,2
35 — 39	34	43	26,4	22,6
40 — 44	26	74	20,2	38,9
45 — 49	28	30	21,7	15,8
50 — 54	8	25	6,2	13,2
55 — 59	8	9	6,2	4,8
60 i więcej	2	1	1,5	0,5
Razem	133	190	100,0	100,0

Występują tu zatem te same objawy, które widzieliśmy poprzednio, porównując całkowity skład obu Sejmów, tylko w formie jeszcze wyraźniejszej. Charakterystyczne jest rozłożenie się środka ciężkości w r. 1928 między dwie grupy: 35 — 39-letnich i 45 — 49-letnich; odpowiada to „pierwszej brygadzie” i starszej od niej mniej więcej o 10 lat „brygadzie czwartej”. Pierwsza z tych grup weszła do nowego Sejmu znacznie wzmocniona, bo gdy w poprzednich Sejmach dawni kombataneci stanowili około 20 proc. pełnego składu B.B. lub niewiele więcej, to obecnie prawie połowa posłów polskich rekrutuje się z legionistów lub peowiaków. Ale i „brygada czwarta”, choć poszarpana nieco, wyszła dość obronną ręką; tem się tłumaczy, że obecnie posłowie 50 — 54-letni są

¹⁾ Procenty te różnią się od podanych wyżej w tabeli, ponieważ wzięto w rachubę przy ich obliczaniu także grupę 25 — 29-letnich.

stosunkowo dwukrotnie liczniejsi, niż byli w B.B. przed 7 laty.

Jeszcze lepiej zarysuje się sytuacja, jeśli będziemy ją rozpatrywali wedle roku urodzenia (również w 5-letnich grupach).

Roczniki	Liczba posłów		Stosunek procentowy	
	1928	1935	1928	1935
1900—1904	2	8	1,5	4,2
1895—1899	12	43	9,0	22,6
1890—1894	35	74	26,3	38,9
1885—1889	27	30	20,3	15,8
1880—1884	33	25	24,8	13,2
1875—1879	12	9	9,0	4,8
1874 i dawn.	12	1	9,0	0,5
Razem	133	190	100,0	100,0

Ludzie zatem zrodzeni w XX wieku niemal nie weszli do nowego Sejmu. Wzmocniły się zato roczniki legionowe (do r. 1899 włącznie), ludzie zaś z przed roku 1885 grają obecnie o połowę przeszło zredukowaną rolę.

Kto zaś został poza Sejmem? W porównaniu do sytuacji przed reformą ordynacji wyborczej obecny stan rzeczy jest taki, że na 18¹/₂ milj. ludności powyżej 21 lat (a więc tej, która łącznie z wejściem w okres służby wojskowej, ma także

świadomość swych praw politycznych i zresztą stanowi już w życiu czynnik aktywny, ten który „się liczy”) 2 miliony utraciły czynne prawo wyborcze, dalej zaś o 3 i pół miliona zmniejszył się zakres obywateli, posiadających prawo wyborcze bierne, który wynosi obecnie niewiele ponad 12 milionów. Odliczmy jeszcze 2³/₄ miliona 30 — 34 letnich, którzy prawie nikogo ze swoich w Sejmie nie mają, a dojdziemy do rezultatu, iż prawie połowa ludności w Państwie, młodej, lecz dojrzalej już do samodzielnego myślenia o sprawach publicznych, jest poza nawiasem nowego Sejmu. Trzeba zaś i to uwzględnić, że około 2¹/₄ miliona pokolenia najstarszego (powyżej 60 lat) ma teraz zaledwie jednego jedyne przedstawiciela.

O starszych mniejsza, choć nie wadzi nigdy głos doświadczenia. Nieobecność jednak młodych stawia nowy Sejm na uboczu od dróg tego życia, które nietylko nadchodzi, ale już i jest wśród nas, z każdym rokiem silniejszą liczbą i coraz głośniejszą wołającą: z nami będzie? Sejm, w którym te głosy się nie rozlegną, bo niema komu z nimi wystąpić, staje się Sejmem bez jutra, konserwującym tylko dzień dzisiejszy, który zresztą już się niebawem zacznie stawać dniem wczorajszym.

Ale co będzie z jutrem Polski?

MARJAN GRZEGORCZYK

FASZYZM U KRESU ROKU XIII

R Z Y M i J U D E A

(KARTKI Z NOTATNIKA)

Niechby Judea nie była podbita
Przez broń Pompeja i przewagi Tyta,
Bo jad wyróżnionych dziś bujnie się pleni,
A zwycięzcami władną zwyciężeni.

(Rutilius Numatianus — V w. po Chrystusie).

Rzym, 16 września

WCZORAJ wieczorem, na przepięknie oświetlonym — z racji trzydziestej pierwszej rocznicy urodzin Humberta, księcia Piemontu — Kapitolu, widziałem krzyż z zakniętą pod spodem różgą liktorską. Czy to symbol *régime'u*?

To pewna, że w kościołach rzymskich, o każdej dnia porze: na dwunastówce niedzielnej w Gesù, na niesporach w San Marcello czy Santa Maria dei Angeli widzimy oficerów w białych kolonialnych mundurach, z medalami za waleczność, jak przychodzą się pomodlić, być może przed wyruszeniem na wyprawę. Dwukrotnie — z rezydencji urzędowej „Duce”, widzę znów wychodzących księży i przypominam sobie, jak to — dwa lata temu — Ojciec generał Ledóchowski, spędzający lato w willi Mondragone we Frascati, chwalił sobie wobec mnie sąsiedztwo nabożne „Giovinezzy” faszystowskiej. Tak, renesans katolicki, święcący swoje podboje nad Sekwaną i Tamizą, tutaj, nad Tybrem, nosi poniekąd stempel już urzędowy.

Wyrazem owej współpracy „Città di Vaticano” z faszyzmem stał się dla mnie, pomiędzy innymi, spędzony w stolicy papieża i królów z dynastji sabaudzkiej dzień 20-y września, 65-ta rocznica słynnego wyłomu w Porta Pia, to jest oku-

pacji Rzymu papieskiego przez wojska generała Cadorny, jakżeż bucznie niegdyś obchodzona w przedlateraneńskim Rzymie, a dzisiaj uczczona wiązką kwiatów zaledwie przez gubernatora Bottai'ego.

* * *

W parę dni przedtem, organ „faszyzmu uniwersalnego”, „Ottobre”, zamieścił na łamach swoich następującą korespondencję z Paryża¹⁾:

„Żydzi i masoneria” — donosił mianowicie paryski korespondent tego pisma — „są grabarzami Francji. Naród francuski nie powinien przynigdy o tem zapominać. Podczas kiedy wielka liczba robotników tkwi w najędźniejszym bezrobociu, podczas kiedy niejedyn intelektualista (a są wśród nich i tacy, których wysoka wartość cieszy się powszechnym uznaniem i którzy zasługują istotnie na to, aby stać się duchowymi przywódcami narodu), nie znajduje możliwości zużycia zdolności swoich w zakresie, w którym pragnąby służyć, motłoch żydowski, przepędzony z Niemiec... i przyjęty tutaj z otwartymi ramionami, widzi sobie powierzone natychmiast ważne i popłatne stanowiska ze szkodą elity narodowej.

¹⁾ Nr. z 13 września.

Któż to popiera owych zbiegów, a odtrąca intelektualistów francuskich? Oto — żydzi oraz wolnomularstwo.

Wszystkie te półmędrki żydowskie, wszyscy ci pseudo-intelektualiści o stopniu ograniczonym kultury i o żadnej moralności, znajdują dobry i ciepły przytułek, niektórzy zaś naprzeków wszelakim prawom i reglaminom (regulaminom tak bardzo surowym, kiedy chodzi o rdzennych Francuzów): jedni przeto dostają prawo wykładania w gimnazjach i uniwersytetach, inni zaś stypendja...

Ale nie dosyć na tem. Panowie wydawcy, tak skąpi w tej dobie, kiedy chodzi o nowe wydawnictwa, nie czynią tego rodzaju przeszód wydawnictwom żydowskim. Weźmy np. semicki (czy półsemicki) dom wydawniczy Alcan'a, co wyzyskuje czy wprost paraliżuje młodych pisarzy francuskich, których wysoka kultura i uczciwość intelektualna cieszą się powszechnem uznaniem, wydaje, po największej części nakładem własnym, wszelakie ekulubracje emigrantów z „Ghetta” oraz ich apologetów (jak mianowicie jednego z najsławnszych przedstawicieli kultury merkantylnej, niejakiego Lakowskiego (Lakhovsky), aatora arcygłupiej i — banalnej księżczyzny apologizującej semitów.

Prasa, literatura, kino, radjo, są, po największej części, w rękach żydowskich.

I tak więc czasopismo „*Gringoire*” oraz inne wydawnictwa grupy Carbuccia-Chiappe, jak np. „*Revue de France*” i „*Editions Françaises*” znajdują się bez reszty w rękach aferzystów i bankierów żydowskich. I tak: głównymi akcjonariuszami owej „*Revue de France*” są: bank Rotszyldów (z 70.000 franków akcji), dalej zaś bankierzy żydowscy: Henryk Bauer, Michał Lazare, Jerzy Brunsvig, Wilhelm Blumenthal oraz Hembauer (każdy z 50.000 franków); Emil Deutsch de la Meurthe (z 25.000 franków) i Jakób Stern (z 10.000 franków).

Głównym akcjonariuszem „*Editions de France*” jest żyd Edmund Weinstein, przedstawiciel spółki Bayard — Geoffrey — Weinstein. Ten ostatni, a raczej jego spółka, rozporządza ogółem 477.000 franków w akcjach... Tenże sam Weinstein posiada nadto 50 akcji, każda po 500 franków, dziennika „*Gringoire*”, podczas gdy spółka Bayard — Geoffrey — Weinstein dzierży nie mniej, niż 450 akcji (po 500 franków) tegoż samego pisma. Co się tyczy innych akcjonariuszy-żydów wspomnianego czasopisma, to nazwiska ich brzmią: Józef Kessel, Maurycy Fischer i Karol Levy, każdy mający w rękę — 100 akcji po 500 franków.

Tak tedy — żydzi i masoni redagują dzienniki francuskie. Podobnie „*Echo de Paris*” ma za kierowników dwóch żydów: Simonda i Hirscha (ten ostatni pisze zresztą pod pseudonimem Marcellego Hutin).

W dzienniku „*L'Ordre*”, założonym (niegdyś) przez monarchistów, rozporządza przeważnie udziałami żyd Jakób Ebstein. „*La Chronique parlementaire*” oraz „*La critique littéraire*” podlegają właściwie kierownictwu żydów Silberta i Piotra Loewel'a.

„*La Liberté*” liczy w zespole swoim redakcyjnym masonów H. Lemery'ego i Roberta Kempa oraz żyda Maksa Fischera.

„*Le Jour*”, którego kampanja „antymasońska” narobiła tyle hałasu, podlega w rzeczywisto-

ści dyrektywom masona Vertexa i masona żydowskiego Heckera.

„*L'Ami du Peuple*”, założony przez antybolszewika, antyżyda i antimasona Franciszka Coty, dzisiaj w znacznej mierze podlega redakcji masona Piotra Bermonta. Również mason Lemery współpracuje z tymże dziennikiem, który uchodzi za organ „Frontu Narodowego”.

„*Aux Ecoutes*”, wywieszające w podtytułe etykietkę „narodową”, redagowane są przez żyda z pod znaku Stawiskiego, Pawła Levy'ego.

„*L'Espoir français*”, założony przez żyda Nathana (Louis Forets), ma jako naczelnego redaktora żyda, dr. Javala.

„*L'Intransigeant*”, założony przez antysemitę Henryka Rocheforta, należy obecnie do znanego żyda i masona Ludwika Dreyfusa.

Podany spis nie ma wcale pretensji, ażeby być kom pletnym, lecz mógłby dowolnie być wydłużony. Nie zapominajmy, że obejmuje on wyłącznie publikacje t. zw. narodowe, czyli prawicowe. To wystarczy, żeby wytworzyć sobie pojęcie, czem jest prasa lewicowa, która podlega bez reszty wpływom żydowskim.

Żydzi i masoni, którzy jeszcze niedawno fraternizowali z komunizmem, są (przeto) grabarzami Francji.

Czyż nie wygląda na złośliwy żart okoliczność, że 14 lipca, w samże dzień święta narodowego Francji, żydzi maszerowali na czele pochodu „Wspólnego Frontu”. A oto ich nazwiska: Victor Basch, Zyromski, Louis Levy, Robert Lange, Emile Kahn, Bernard Lecache, Salomon Grumbach, Léon Blum, A. Blummel, O. Risenfeld, Kastenbaum, Apicha, Abraham, N. B. Landwand, Betty Brunshwig, Dreyfus, Strittmayer, de Troyes, Pierre Bloch, de Laon, Pierre Hirtz, Valabregue, Georges Hirsch, Hirschovitz i M. Brunshwig.

Kiedyż nareszcie obudzi się ta Francja? ¹⁾

* * *

I kiedyż nareszcie — dodamy — obudzi się „sprzymierzona” z nią, ale bodaj nie sprzężona trzecio-republikańskimi idjosynkrazjami — Polska? Czy naprzekór części prasy, owładniętej „chorobą angielską”, a pełnej wzniosłych, jakkolwiek obłudnie w tym wypadku brzmiących haseł o poszanowaniu jednostek oraz narodów, zdobędzie się na całkiem obiektywne traktowanie odległego, egzotycznego sporu, wychodząc z założenia, że imć Hailé jest dla niej właściwie „Hekubą” i że od kaftana abisyńskiego bliższa jej jest w każdym razie toga italska, w której tak było do twarzy fizjonomji kulturalnej polskiej w dawnych i nieco dziś przebrzmiałych stuleciach.

Okaze się właśnie — *ex re* bliskiego już, zdaje się, wyboru następcy p. Wysockiego, czy „miarodajne” u nas czynniki doceniają całą wagę kulturalną italo-polskiego współżycia i czy potrafią, gwoli skutecznej jego rozbudowy, znaleźć pełnomocnika, którego samo nazwisko brzmiałoby jako pobudka tradycji łacińskiej, rzymskiej i katolickiej.

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

¹⁾ Ze we Francji jest tylko *tout comme chez nous* — pomijając codzienny zbożny trud wysługującej się żydostwu prasy brukowej — zwróć chociażby uwagę na rozrzuconą po całej Warszawie w dniu 9 października ulotkę antywiłowska, podpisaną — oczywiście! — przez pana Konica.

O „WŁADZY ŻYDOSTWA NAD ŚWIATEM”

TWIERDZENIE, że żydostwo, po obraniu sobie rozproszenia za „normalny” tryb swego bytu, dąży do podboju swego otoczenia codziennego, czyli do władzy nad niem, nie jest dorobkiem czasów ostatnich. Ta myśl była już znana narodom starożytnym, a między innymi Grekom i Rzymianom. Czasy ostatnie wzbogaciły jedynie tę myśl nowymi dowodami i w ten sposób przyniosły z sobą potwierdzenie jej słuszności.

Przywódcy żydowscy, rzecz naturalna, starają się zaprzeczyć istnieniu zarówno samego faktu tej władzy, jak i odnośnej tendencji, którą przeniknięta jest światowa polityka żydowska.

Pod tym względem znamienne jest przemówienie Nachuma Sokołowa, prezesa „agencji żydowskiej”, który w swoim referacie — „o sytuacji żydostwa w świecie” — na XIX Kongresie Syjonistycznym w Lucernie (20.VIII — 3.IX 1935 r.), m. in. mówił:

„gdy judofobski pismak poprzednio, w okresie polemizno-agitacyjnym, w pamflecie pisał o „Światowej władzy żydostwa”, to wiedzieli wszyscy, że taka władza nigdzie nie istnieje (z części mowy o sytuacji w Niemczech, przyp.)...

Judofobia jest b. ruchliwa (z mowy o sytuacji w Polsce, przyp.). Zdaje się, że nie dają jej spać wawrzyny naganki przeciw żydom w Niemczech. Podatki i inne ciężary żyd winien płacić, ale nie wolno mu sięgać po prawo do bytu, gdyż stanowi to dowód, że chce on opanować świat”... („Hajnt”, W-wa Nr. 194/21/VIII 1935 r., Ż.A.T.).

A zatem, N. Sokołow, jako prezes „agencji żydowskiej”, twierdził, że władza żydowska nad ludnością rdzenną nigdzie nie istnieje oraz, że żydostwo nie dąży do władzy nad resztą narodów, czyli do władzy nad światem.

Aby przekonać się, czy twierdzenie N. Sokołowa odpowiada rzeczywistości, należy przede wszystkim zastanowić się nad istotą władzy narodowej wogóle, a władzy żydowskiej w szczególności.

Władza narodowa jest to ta siła, która tkwi i uzewnętrznia się w danym narodzie, a która, mając za zadanie kierowanie jego sprawami w jego kraju ojczystym w myśl jego potrzeb i jego chęci, zgodnie z przyrodzonym prawem narodu — gospodarza, zdolna jest zmusić wszystkich na danym obszarze do uległości wobec tych swoich poczynań.

Natomiast władza żydowska — w warunkach bytu w rozproszeniu, — jest to ta siła, która, w oparciu o pewną kategorię osobników z pośród narodów rdzennych, bierze swe źródło z całego rozproszonego żydostwa, a która, mając za zadanie kierowanie w poszczególnych krajach sprawami żydowskimi w interesie żydów, jest zdolna zmusić ludność rdzenną w każdym kraju do zrzeczenia się, w mniejszym czy większym stopniu, swego — wyżej określonego — przyrodzonego prawa pełnej suwerenności.

Na pojęcie przeto władzy żydowskiej w krajach rozproszenia, czyli władzy obcej i wrogiej pod kątem widzenia interesów narodów rdzennych, składają się 3 czynniki: a) żydowski zespół osobowy, zwłaszcza na posterunkach, uznanych przez czynniki żydowskie za najważniejsze w danym kraju dla interesów żydowskich; b) żydowska treść

działalności, czyli taka, która składa się z poczynań, mających na celu zabezpieczenie chęci i potrzeb żydostwa, kosztem, ma się rozumieć, chęci i potrzeb ludności rdzennej, bowiem w warunkach rozproszenia inaczej być nie może: każdemu „prawu” żydowskiemu odpowiada stosowny „obowiązek”, czyli ciężar dla ludności rdzennej; c) pewne tegorje osobników z pośród ludności rdzennej, czyli t. zw. czynniki pomocnicze.

A w jakich warunkach żyją obecnie narody rdzenne w swoich krajach ojczystych?

Ad a) Czy nawet na najwyższych posterunkach życia ludności rdzennej nie spotyka się stale żydów?

Ad b) Czy obecny ustrój społeczny w krajach t. zw. kulturalnych nie jest oparty na pogwałceniu przyrodzonego prawa gospodarza, przysługującego ludności rdzennej, a więc na utrudnieniu rozwijania przez nią swego życia zgodnie z zasadą swego dobra?

Przecież wyrazem pogwałcenia tego przyrodzonego prawa narodów rdzennych w ich krajach ojczystych jest t. zw. równouprawnienie żywołu żydowskiego.

Obcy tej ludności rdzennej i wrogi jej żywioł został uznany, jako... jednaki, jako... tożsamy z nią, jako... jej równy! Na tej podstawie należą się mu prawa jednakowe z ludnością rdzenną, czyli prawa „równe”!

Zresztą, sami żydzi w chwilach szczerości nie negują absurdalności tego przywileju żydowskiego. Dr. O. Thon, przywódca żydowski w skali rozproszenia żydowskiego, w 1931 r. pisał:

„cała ta sprawa równych praw jest „wynałkiem żydowskim”, jednym z wielu wynalazków żydowskich, jednym z wielu kawałów żydowskich, które przyjęły od nas narody rdzenne ze zgrzytaniem zębów. One jednak musiały je przyjąć. A zupełnie dużym kawałem żydowskim było to, że równouprawnienie rozciąga się nawet na obcych”... („Hajnt” 269/1931 r.).

„Nawet na obcych”, czyli na żywioł żydowski...

Autor niedwuznacznie kpi z „gojów”, którzy dali się wziąć na lep tego „kawału żydowskiego”.

Jeżeli równouprawnienie żydów gwałci przyrodzone prawa gospodarza ludności rdzennej, to cóż mówić o skutkach dla tej ludności uznania żydostwa jeszcze za... „mniejszość narodową”, który to dodatkowy przywilej rozciągnięto na ten żywioł w kilku krajach, w tej liczbie w Polsce?

Ad c) Czyż nie jest oczywiste, że ten niezdrowy ustrój obecny, oparty na tym przywileju żydowskim, i zawierający w sobie źródło stałego kryzysu we wszystkich dziedzinach życia, byłby niemożliwy, gdyby żydostwo nie posiadało pewnej kategorii zależnych od siebie osobników w łonie narodów rdzennych?

Na tę zależność ich od żydostwa — a skutek ich pomocy — także i na zależność ich narodów, wskazują już słowa wymienionego autora: „one jednak musiały je przyjąć”...

Oto tak przedstawia się rzeczywistość w dobie obecnej, czyli to żydowskie „prawo do bytu”, o którym mówił Nachum Sokołow.

Ale taki stan jest właśnie wyrazem podboju przez żydostwo narodów rdzennych, czyli jest wyrazem „władzy żydostwa nad światem”.

Jaki zaś jest stosunek żydostwa do swojej „władzy nad światem” w przyszłości?

Czy żydostwo jest skłonne zrzec się dobrowolnie, bez przymusu, tej swojej władzy nad narodami rdzennymi, czyli tego swego „prawa do bytu” w krajach rozproszenia, jak się wyraził Nachum Sokołow?

Pod tym względem miarodajną odpowiedzią jest zapatrywanie się przywódców żydowskich na cele syjonizmu.

Niejednemu z pośród narodów rdzennych zdaje się, że celem syjonizmu jest wytworzenie nad Jordanem państwa żydowskiego, w którym ma się skupić żydów żydowski, rozsiany dotąd po cudzych krajach i będący, według wyrażenia żydowskiego, w „golusie” „na wygnaniu”, („golus” po hebr. oznacza „wygnanie”).

Przywódcą centrum syjonistycznego w skali rozproszenia żydowskiego („Światowy Związek Ogólnych Syjonistów”), dr. J. Szwarebart, we wrześniu 1935 r. m. in. pisał:

„celem syjonizmu jest wytworzenie nowej ojczyzny żydowskiej, nowego państwa żydowskiego o żydowskiej większości na terytorjalnym obszarze państwa, a drugim celem syjonizmu jest związanie golusu — historycznie, duchowo, psychicznie i kulturalnie — z państwem żydowskim. Ale celem syjonizmu bynajmniej nie jest likwidacja golusu. Przeciwnie, celem jego jest wzmocnienie ducha walki o nasze ludzkie i narodowe prawa golusu. Jest to los [naszej historii]... („Moment” 220/1935 r.).

Na XIX kongresie syjonistycznym w Lucernie, Nachum Sokołow, we wspomnianym referacie, mówił:

„Erec Izrael i równouprawnienie w golusie — to sformułowaliśmy jednogłośnie na wszystkich naszych konferencjach... Kto ma wybudować żydowską siedzibę narodową? Kto ma dać lub pożyczycie niesłychanie duży kapitał, potrzebny w tym celu? Odpowiedź na to musi być jasna: żydowski golus... Niezależnie potrzebne dla syjonizmu palestyńskiego zaplecze („hinterland”) musi stanowić żydowski golus, który żyje w normalnych warunkach... Żydowski golus stale istniał. Ten, kto nie uważa równouprawnienia dla naszego narodu w golusie za zasadę nienaruszalną i obowiązującą dla narodów rdzennych... ten nie jest wiernym synem swego narodu... troska o cały nasz naród stanowi podstawę syjonizmu... („Hajnt” 194/1935 r., Z. A. T.).

Przywódcą rewizjonistów, Wulf „Żabotniński, w statucie niedawno powołanej do życia „nowej organizacji syjonistycznej” umieścił, co prawda, „likwidację golusu”, jako jeden z celów syjonizmu, ale wymieniony dr. J. Szwarebart uznał to („Moment” 220/1935 r.) za manewr taktyczny, w dodatku szkodliwy dla żydostwa. Stanowisko przeto rewizjonistów można pozostawić bez uwagi, ograniczając się na poglądach dr. J. Szwarebart’a i Nachuma Sokołowa. A więc ci wybitni przywódcy żydowscy, określając oficjalnie cele syjonizmu, wyraźnie stwierdzają, że żydostwo swego dotychczasowego „prawa do bytu” w krajach diaspory, czyli swojej władzy nad narodami rdzennymi, zrzec się bynajmniej nie zamierza.

Słabą stroną rozmowań tych dwu przywódców żydowskich, jak zresztą i wielu innych, jest to tylko, że pokładając, widocznie, niezachwianą nadzieję w swoich „czynnikach pomocniczych”, ignorują oni zupełnie fakt ocknięcia się szerokich mas narodów rdzennych w Europie, które sięgają już po swoje utracone na rzecz żydostwa zwierchnictwo, czyli po swoje prawo narodu - gospodarza.

Stanowisko szerokich mas zdecyduje o dalszej władzy żydostwa nad światem.

ZBIGNIEW KRASNOWSKI

BANKRUCTWO USTROJU SZKOLNEGO W POLSCE

(Dokończenie)

VII

STOIMY u wrót wielkiego przewrotu: dziś już szkoły średnie, zawodowe i wyższe są dostępne tylko dla bogatych — jutro będą tylko dla zamożnych i — szkoły powszechne, zwłaszcza te o wyższym typie organizacyjnym. Nie da się w tych warunkach utrzymać nawet fikcji przymusu szkolnego. Trzeba go znieść i zgodzić się na zalew analfabetyzmu — albo zawrócić. Pierwsze byłoby barbarzyństwem. Pozostaje więc wyjście drugie. Trzeba zawrócić, trzeba podjąć reformę ustroju szkolnictwa powszechnego, a potem i średniego.

Wszelkie półśrodki zawiodą. P. Kawalkowski rozpaczliwie na łamach urzędówki prosi rząd o kilka tysięcy etatów nauczycielskich. I o nic więcej! Możemy go zapewnić, że to bardzo niewiele pomoże. Wykazywaliśmy wyżej, wykazywali to i najbliżsi p. Kawalkowskiemu przyjaciele, iż potrzeba znacznie więcej etatów i sal. Nie zadowolimy potrzebnej setki czy półtorej setki milionów złotych corocznie na uzupełnienie braków

w obecnej organizacji szkolnictwa powszechnego, a dopiero taka dawka przyniosłaby pożądaną zmianę. Próby przerzucenia kosztów utrzymania szkolnictwa powszechnego na samorząd gminny już były i skończyły się niepowodzeniem. Niezupełnie uporządkowane stosunki narodowościowe w województwach wschodnich nakazują nam wręcz utrzymanie całego szkolnictwa w ręku państwa. Tylko podbudówki i nadbudówki tego szkolnictwa (ochronki, nauka uzupełniająca, kursy dla młodzieży i t. p.) mogą być oddane w ręce społeczne lub samorządowe.

Trzeba zawrócić radykalnie!

Dziś mamy 7—8 lat nauki, mamy na papierze wysoki stopień organizacyjny szkół, no i mamy ponad milion dzieci poza szkołą, a wynik nauki uczęszczających niedostateczny. Przecież to katastrofa! Zerwać z tem należy!

Twarda rzeczywistość każe nam układać ramy szkolnictwa skromnie. Trzeba o tem pamiętać, że 94% całej młodzieży (wsi i miast) kończy swoje studia na szkole powszechnej. Szkoła takiej olbrzymiej masy narodowej musi być dobra,

rzetelna, solidna. Choć nie przez wiele lat i choć nie dużo, ale dobrze te miljonowe rzesze nauczyć trzeba.

Dając szkoły powszechne o małej ilości klas, o mniejszej ilości lat nauki, o skromnym zakresie wiedzy, ale dając towar solidny i rzetelny w granicach naszej możliwości finansowej, spełnimy uczciwie obowiązek obywatelski.

VIII

W ścisłym związku z reformą szkoły powszechnej musi iść reforma szkoły średniej. Ta szkoła nie może zawisnąć zbyt wysoko i daleko od szkoły powszechnej. Trzeba ją przybliżyć. Zrobić musimy to tem więcej, że w imię kultury narodu i mas dbać musimy o to, aby jednostki zdolne z pośród szarej masy miały do szkół wyższych dostęp łatwy i — ułatwione dalsze studia.

Są głosy, że szkół średnich mamy za dużo. Czy tak jest istotnie?

Mamy obecnie 770 szkół średnich ogólnokształcących i 156 seminarjów nauczycielskich. Seminarja znikną ostatecznie wskutek reformy już w r. 1936. Na gimnazja i pedagogja przechodzi w myśl nowych planów obowiązek wychowania nowego narybku nauczycielskiego. Z pośród tych szkół utrzymywało państwo tylko 301 gimnazjów i 99 seminarjów. „Utrzymywało” nie jest wyrazem tutaj właściwym. Każdy uczeń gimnazjum płaci rządowi 220 zł. na „wydatki administracyjne” (uczniowie seminarjum płacą mniejsze taksy), wskutek czego uczniowie pokrywają znaczną część budżetu tych szkół. Szkoły średnie — to dzięki tym opłatom, najtańszy dla państwa typ szkoły. Ten drożej wypada dla — rodziców.

W r. 1928/29 było w gimnazjach 204.000 uczniów, w seminarjach 36.800 uczniów — razem 240.800 uczniów. W r. 1934/35 było w gimnazjach 166.100 uczniów, w seminarjach 10.200 uczniów — razem 176.300 uczniów. O 69.500 uczniów mniej. Z tej liczby państwowe szkoły mają 90.000 uczniów. Reszta uczęszcza do szkół prywatnych. Wydatek państwa na szkoły średnie wyniósł w r. 1927/28 — 36,8 milj. zł., w r. 1928/29 — 36,5 milj. zł., w r. 1929/30 — 38,9 milj. zł., w r. 1930/31 — 38,8 milj. zł., w r. 1932/33 — 29,3 milj. zł., w r. 1932/33 — 24,7 milj. zł., w r. 1933/34 — 25,4 milj. zł., w r. 1934/35 — 25,1 milj. zł. Taksa administracyjna w szkołach średnich daje rocznie około 14 milj. zł.

Przed 10 laty badałem w charakterze referenta budżetowego Ministerstwa W.R. i O.R. w Sejmie rozwój szkolnictwa średniego w innych państwach. Było wówczas w gimnazjach (bez seminarjów): we Francji 166.474 uczniów, w Niemczech 751.419, a z uczniami t. zw. *Mittelschulen* 1.080.763 uczniów, w Anglii 451.960, we Włoszech 78.447, w Czechosłowacji 106.039, w Rumunii 54.567, w Stanach Zjednoczonych 2.371.015, a w Polsce bez Śląska 102.318.

Nie kroczyliśmy więc wcale na czele wielkiej falangi przyszlých inteligentów. Pozatem w Polsce już wówczas bardzo znaczny odsetek uczniów szkół średnich stanowili żydzi i kobiety. A te dwie grupy studujących musimy traktować nieco odrębnie — z całkiem zresztą odmiennych przyczyn.

Zwrócić musimy uwagę na fakt, który wielu po-

mija lub go niedocenia. Kobieta w Polsce (jak i wszędzie indziej) nie zawsze kończy szkołę średnią ogólnokształcącą po to, aby potem objąć posadę lub iść na uniwersytet. Nie mamy odrębnej, specjalnej szkoły średniej ogólnokształcącej dla dziewcząt. Zapełniają więc one seminarja nauczycielskie i głównie prywatne gimnazja, aby osiąść ogólne wykształcenie, a przez to dla statystyki pomnażają liczbę czekającej na pracę i chleb inteligencji. Są oczywiście i wśród kobiet takie, które idą potem w świat samodzielnie i dobijają się wysokich stanowisk, ale większość z nich po drodze odchodzi, stwarzając ogniska domowe. Żydzi tylko doczasu korzystają z praw ogólnych.

Odcinając kobiety i żydów — otrzymamy liczbę młodzieży przygotowującej się do studjów uniwersyteckich do połowy zmniejszoną. Dziś ten obraz jest zaciemniony, boć żydzi korzystają jeszcze tymczasem z równouprawnienia, z posad i z praktyki w wolnych zawodach.

IX

Szkoły zawodowe przedstawiają w Polsce odcinek mało jeszcze zorganizowany i do rzeczywistości nie dostosowany. Mamy 6 seminarjów rzemiosł (300 uczniów), 698 szkół i kursów zawodowych, 631 szkół zawodowych dokształcających, 141 szkół rolniczych, a w nich wszystkich razem 156.000 młodzieży, w tem w szkołach rolniczych 4.900 młodzieży. Państwo płaci na nie stosunkowo niewiele (od 20 do 12 milj. zł. rocznie). Znakomitą większość tych placówek prowadzi samorządy i osoby prywatne, w wielkim procencie żydzi. Wiele szkół i kursów istnieje nie wiadomo dobrze poco; są bez uczniów. Państwo płaci za naukę jednego ucznia w szkołach zawodowych niższych nieraz ponad 1000 zł. rocznie.

Najwyższa Izba Kontroli wielokrotnie obliczała koszt kształcenia jednego ucznia w różnych szkołach. Rezultaty tych obliczeń podawała w Uwagach do zamknięć rachunkowych. Powołując się na to źródło, zacytuję szereg ułankowych zresztą cyfr.

Niższe szkoły rolnicze (przeważnie jednoroczne) prowadzi państwo albo samorząd. Oto tabelka zasadnicza szkół państwowych:

Rok	Ilość szkół	nauczycieli	uczniów	Koszt nauczania jednego ucznia
1926/27	9	49	315	—
1927/28	14	62	396	—
1928/29	14	69	509	—
1929/30	25	112	941	976 zł.
1930/31	26	120	945	890 zł.
1931/32	26	111	819	861 zł.
1932/33	26	120	799	831 zł.

Były jednak duże różnice między szkołami. W Gołaczynie istnieje żeńska szkoła rolnicza. Miała ona w 1929/30 42 uczennice, w 1930/31 — 32 uczennice, w 1932/33 — 27 uczennice. Koszt nauczania jednej uczennicy wynosił 896 zł., 774 zł., 842 zł. Ta szkoła jest jedną z tańszych. Podobna szkoła w Plancie miała 7 nauczycieli, 22 uczniów, koszt nauczania jednego 1.218 zł. Szkoła w Kolpinie 19 uczniów, koszt nauczania — 1.133 zł.

Koszt wykształcenia jest wyższy. Nie wszyscy bowiem uczniowie otrzymują końcowe świadectwa.

Np. w Miłocinie było 58 uczniów, świadectwo ukończenia otrzymało 22. Koszt nauczania jednego ucznia wynosił 741 zł., koszt wykształcenia jednego absolwenta 1.996 zł. Koszt wykształcenia absolwenta wynosił w Żyrowicach 3.830 zł., w Szubkowie 2.824 zł.

Podobnie wyglądają średnie szkoły rolnicze. Roczny koszt nauczania jednego ucznia wynosi w Bojanowie 549 zł., w Czernichowie 1.742 zł. Koszt wykształcenia 1 absolwenta wynosił w Bojanowie 2.056 zł., w Czernichowie 5.397 zł., w Bydgoszczy 8.074 zł. Można by mnożyć przykłady.

Mimo wielkiego wysiłku państwa, szkoły trzeba zamykać, bo — niema w nich uczniów. Znak to najlepszy, iż dzisiejszy system niższych zwłaszcza szkół zawodowych nie odpowiada istotnym potrzebom i aspiracjom mas. Wymagałoby wielkiej propagandy i odpowiedniej pomocy społecznej, aby podnieść poziom wiedzy rolniczej, rzemieślniczej i handlowej w masach. Bo potrzeba tej wiedzy jest wielka. Ale czy należy to robić przy pomocy tych szkół, które są, i tak zorganizowanych, jak są dziś?

Nie ja jeden uważam wiele milionów złotych, wydanych na szkolnictwo zawodowe, za w znacznym stopniu zmarnowane. Nastroje w rządzie i w sejmach były przez długie lata takie, że dawano na ten typ szkół, ile tylko było trzeba, więcej, niż było trzeba. Nie brakowało pieniędzy. Brakowało natomiast wśród starszego pokolenia zrozumienia dla tego typu szkół. Szkoły wydawały się dawniej i wydają się dzisiaj zbyt obce, zbyt wysokie dla wymagań ogółu. Słyszemy setki razy: Jak syn 5-morgowego gospodarza, ukończywszy szkołę rolniczą, ma gospodarować potem na dwu, trzech morgach? Na to nie trzeba szkoły — kształcenie fachowe — to za wielki wydatek...

A dziś? Dziś stan jest gorszy, niż był 10 lat temu. Wówczas był pęd mas ku górze. Obecnie obserwujemy odpływ. Zamykamy szkoły. Rząd obecny pociesza nas i otwiera — sporą ilość gimnazjów rzemieślniczych i kupieckich. Nie przeczę: potrzebnych. Ale bez reszty szkolnictwa wygląda to coś, jakby kwiat na koźuch. Wiadomo wprawdzie: i koźuch potrzebny i kwiat umila życie. Tylko, że jedno nie pasuje do drugiego.

Kształcić zawodowo musimy — tylko formy i metody poddać należy odpowiednim zmianom.

Nauczanie jednego dziecka w szkole powszechnej kosztowało według obliczeń Najw. Izby Kontroli — w r. 1927/28 — 69 zł., w r. 1928/29 — 74 zł.

Koszt Skarbu Państwa na utrzymanie i wykształcenie jednego głuchoniemego w Willi Góra przekraczał 10.000 zł.

Koszt Skarbu Państwa, wydany w r. 1928/29 na nauczanie jednego ucznia w gimnazjum, wynosił 346 zł.

Koszty nauczania jednego studenta w szkołach wyższych kształtują się bardzo rozmaicie. Najtańsze są uniwersytety. Koszt ten wynosił w r. 1929/30 — 715 do 1.142 zł., w r. 1930/31 — 641 — 983 zł., w r. 1931/32 — 457 — 761 zł., w r. 1932/33 — 427 — 710 zł. W Instytucie Dentystycznym koszt wynosił od 468 do 656 zł., w politechnikach od 652 do 1.404 zł. Najdroższa jest Akademia Sztuk Pięknych: koszt nauczania jednego ucznia wynosił od 2.190 do 2.849 zł.

Po ogólnej obniżce poborów spadły i koszty nauczania w paru latach ostatnich.

X

O szkołach wyższych pisze się dużo. Wiele tą dziedziną zajmuje się zwłaszcza obóz narodowy. Stawiamy zarzut społeczeństwu, że zbyt jednostronnie wychowuje swoją inteligencję, że za dużo z młodych ludzi idzie utartą ścieżką nauczycielską czy urzędniczą, a za mało ma odwagę iść o własnych siłach i tworzyć własne, samodzielne warsztaty pracy, a jeszcze lepiej produkcji.

Zarzuty są słuszne. I słuszne jest zdanie, żeśmy za wiele wyższych szkół stworzyli i że wskutek tego poziom naukowy niektórych jest zbyt niski.

Nie mniej w bardzo wielu wypadkach, wykształcający wielkim kosztem państwa, samorządu i rodzin człowieka, nie używamy go we właściwy sposób. Administracja państwa ma tu największe grzechy na swoim sumieniu. Urzędy skarbowe, starostwa, poczty, koleje, nawet sądy zapchane są nieukami, a ludzie z dyplomami chodzą po ulicach jako bezrobotni i masowo tworzą zespoły grajków ulicznych. Zapytajmy o statystykę u p. Ministra Skarbu: Kogo on zatrudnia? — a przekonamy się, że minimalny wręcz procent jego pracowników ma właściwe studia. Niedawno było rozporządzenie rządowe, iż sekretarzami gmin zbiorowych, utworzonych w r. 1935 w 6 województwach południowych i zachodnich, mogą być tylko tacy, którzy ukończyli co najmniej nowe gimnazjum (dawniejsze 6 klas gimn.). Warto zapytać, ilu z mianowanych zamiast tych kwalifikacji przedłożyło dowód należenia do Strzelca i ten dowód wystarczy?

Gdy społeczeństwo płaci w podatkach znaczne sumy na wykształcenie bądź jak bądź nielicznej i społecznie uprzywilejowanej grupy, trzeba, aby ten wyłożony kapitał oprocentował się i amortyzował. Rząd powinien dbać o to w swoim zakresie jako wielki konsument inteligencji. Należycie kwalifikowana biurokracja i sprawniejsze urzęduje i mniej kosztuje, to znane prawdy.

XI

Nowy rok szkolny będzie ciężki dla państwa, dla dzieci, dla rodziców. Niesie on dalsze obniżenie poziomu nauki, dalszy zalew analfabetyzmu. Szerzy zawody i rozgoryczenie. Pogłębia straty.

W rozważaniach moich pominąłem zupełnie programy i plany naukowe. Stanowi to osobny temat. Świadomie ograniczyłem się do zagadnień organizacyjnych i finansowych. Już te wystarczą do wyciągnięcia wielu wniosków.

Trzeba zawrócić.

Trzeba wstrzymać reformy braci Jędrzejewiczów.

Trzeba na nowo i na nowych podstawach budować plan szkolnictwa w Polsce. Od szkolnictwa powszechnego — aż do szczytów, niczego nie pomijając.

Każdy dzień zwłoki przynosi nam niepowetowane straty.

NORWIDJANA III.

L I S T Ó W C. N O R W I D A

G A R Ś Ć D R U G A

Podał STANISŁAW PIGOŃ

(Ciąg dalszy)

3. DO ADAMA MICKIEWICZA

[lato, 1853 r.?

...Zaiste, dośoby mi było zbliżyć się do Europy, ażeby znaleźć miejsce, na którym powinienbym w tych okolicznościach się postawić, gdzie powinienbym zginąć; — aleć muszę pierwej na kontynencie stanąć, bo to nawet wiadomościom przychodzącym wierzyć nie można, tak dalece wszystko w formie afiszowanej, krzykliwej i zogromnionej przedstawują, zarówno będąc hojnymi w ogłoszeniach, jak są skąpymi w życiu.

Owóż u ludu, który nigdy jeszcze jawnie i otwarcie jako całość polityczna w ruchu europejski nie wszedł, — naturalnie, iż każdy Kossuth pobity wojną będzie przyjęty, ale Kossuthowej mieć nieszczeście być pobitym Kossuthem i tu uciec! Zresztą ja właśnie dlatego z taką pewnością o potrzebie zbliżenia się do czynu mówię i tak jasno powiadam, iż należy, ażebym na miejscu swoim stanął, albowiem — chwała Bogu — nie żądam żadnej możeby kariery i promocji, przyzwycający najzupełniej do odmawiania sobie od rana do nocy przez całą młodość moją tego nawet, co mi należy się. Otóż któż tu kwalifikacje tej natury pojmie i zrozumie? Zaiste, jeszcześmy nie doszli do takiego wydewelowania spekulacji i handlu!

Racz więc, Szanowny Panie, dla ojcowskiego sumienia Twojego pomyśleć o tem, o co, — ażebym do wyrzucenia sobie nie miał przed obliczem Przedwiecznego, — w ostatniej konieczności upraszam i zawzywam: ażebym już [nie] tak nieodwołalnie zmarnował całą egzystencję, jak ją marnować naznaczono było dotąd całemu mojemu pokoleniu, które ani Bogu, ani narodowi, ani rodzinie, ani sobie nie miało nigdy prawa ni możności nie uczynić, — stając się pierzehlwym, jak stworzenie, które niema gdzie oprzeć głowy swej.

Jeżeli przeto miałem szczęście w podobnych momentach (nie własną możliwością, ale stosunkami przyjaznemi, jakie miałem) użytecznym być innym, a sam dziś zaiste, jak to może wiadomo Panu nieudawaj, nie mam nikogo, z dawna mi przyjazny, — upraszam i zawzywam Ciebie, Szanowny Panie, ażebyś chciał przedstawić do hr. Ksawieremu Branickiemu, albo hr. Rogerowi Raczyńskiemu, albo komukolwiek z tych ważnych, którzy łacno słowo Pańskiego posłuchają, by o tyle mi w pomoc przyszły racyły, ile trzeba na to, ażebym stąd do Polski albo do Turcji udał się.

Chciej, Szanowny Panie, sumieniem swoim objąć, co tu przedstawiam, i rozmyśleć to przed obliczeniem Sprawiedliwego.

Z poważaniem

C. Norwid.

[P.S.][na po]moc w tym względy rachować nie mogę w żaden sposób]ści jest zamiana — tylko zrealizowane potęgę obcuja ze sobą..... mniemać, iż szanowny i młody (politycznie) naród ten tak wielu rzeczy jeszcze pojąć nie może! — a mianowicie tego, iż są rzeczy, których pojąć nie może.

U w a g a w y d a w c y: Autograf listu w Muzeum Mickiewicza w Paryżu bez daty i adresu; list był na arkuszu, z którego ocalała tylko jedna (druga) kartka, wskutek oddarcia pierwszej uszkodzony został tekst dopisku, tak że pozostały zaledwie fragmenty zdań.

Adresata ustalić łatwo, 1^o z zapisanej wskazówki Wł. Mickiewicza, 2^o ze wzmianek o Branickim i Raczyńskim, magnatach, o których zyczliwym stosunku do Mickiewicza wiadomo było na emigracji. Czas określić można tylko w przybliżeniu ze wzmianek treści. Poeta jest poza Europą, a więc w Ameryce, dokąd, jak wiadomo, wyjechał w październiku 1852 r., chce się dostać „do Polski albo do Turcji”, gdzie „powinienby zginąć”, — pisze „zatem pod świeżem wrażeniem wybuchu wojny turecko-rosyjskiej (maj 1853 r.), a więc kiedyś w lecie tego roku.

Dwukrotna wzmianka w tekście o narodzie młodym politycznie odnosić się może tylko do Stanów Zjednoczonych. Podobnie wzmianka o Kossucie dotyczy entuzjastycznego przyjęcia, jakie umknęło pobitemu dyktatorowi Węgier, gdy w r. 1851, zamknawszy w Turcji, dostał się do Stanów Zjednoczonych; wszystko to popiera zatem hipotezę o miejscu i czasie listu Norwida.

List skutku zapewne nie odniósł. Norwid wrócił do Europy dopiero 1854 r., a kiedy w Paryżu zasłyszał plotkę jakoby „Pan Xawery Branicki dużą sumę mi przysłał do Ameryki”, odpierał ją stanowczo w liście do Zaleskiego (Krechowiecki, II 24).

Tekst listu ogłosiłem był w *Tęczy* 1929, zes. 25; zob. tam szersze uwagi o okolicznościach jego powstania.

4. DO T. LENARTOWICZA

19 Octobra 1856

Chaillot, 107

Drogi Teofilu!

Muszę ci nareszcie wyznać, z czem ociągałem się, aż też w ostatnim bileciku mym do Ciebie pękło, iż i dla Kurc. i Łub[ieńskiego] i ostatnie do Florencji w rezultacie uczyniły mi tylko dużo kłopotów, bo poprostu (i moja w tem wina także!) na takie dystanse to są za małe rzeczy, albo za mało płaczone; ostatnie nawet przyprowadza mnie nieledwo o szwank, bo nie jeszcze z wiadomości zaspokajających nie odebrałem. Sądzę, że jak list ten cię dojdzie, to już pewnie odbiorę. Ale nauczony doświadczeniem ostrzegam cię, że nic nie przyjmę, czego mi zgóry w polowie nie opłacą i niewzruszenie stałego adresu i bankiera nie wskażą.

A to ci powiedziawszy i dlatego powiedziawszy, aby uchronić moje dla Ciebie serce w spokoju, i spokój modlitwy, w której za tobą trwam, nie mówmy już — proszę cię — o tem; nie pisz nic już o tem, tylko wyżej położonego warunku

ściśle pilnuj, a gdyby pani Buturli nie odebrała, wymóż od niej list, że nie odebrała, który jest *conditio sine qua non*, aby mi poczta choć coś zapłaciła, i nie więcej o tem. Bo mieszać nie chcę wspomnienia ciebie z temi bolesnemi ambarasami. Zrób więc to dla Ducha Świętego, który jest Duch miłości i pokoju, że nie pisz mi o tem.

Po tym wstępie, do którego nie chcę więcej wracać, oddycham, bo już nie o tem mowa, o czem z tobą nigdy mówić nie chcę dlatego, że położenia z takich wynikłe trafów zmuszają mię do wspomnienia osób niespokojnie i [do] pisania listów bez precyzji, — rzeczy, których się w wieku moim już nie godzi, zwłaszcza jeżeli ktoś publicznie już dlatego nie pisuje i ofiaruje to, aby miał czas prywatny list poczciwie napisać, wiedząc, ile od tego miłości i realizacji życia zależy.

Twój wiersz wyszedł, — wyziony jest jak strzał broni długo noszonej pod połą surduta, a mającej własność owego lisa, którego Rzymianin pod łogą miał, aż mu wnętrzności wygrzył... Tak to bywa,... tak to musi być... Przeszło pół wieku żaden poeta polski doraźnie prawdy nie kazał — oprócz... kogo? Mickiewicza, i to tylko w małej części *Ksiąg Pielgrzymkich*, i Cyprjana Norwida, we wszystkim drukowanym i niedrukowanym (i dlatego nie drukowanym). Któż inny przez pół wieku odważył się gorzkie prawdy śpiewać? Czy Malczewski? czy Zaleski? czy Krasiński? czy Olizarowski? czy Bielowski? czy kto? powiedz, no kto?... Zapomnieli, że gdyby Kochanowski, Klonowicz, Karpiński i Krasiecki z grobu powstałi, a o urząd słowa spytali się... albo ich grubijanami, albo siebie genjalnymi kłamcami nazwałby przyszedł!

Dlatego, bracie, będziesz zdrowy, żeś oto napisał te kilka wierszy doraźnie ostrych; — choć jeszcze tam są rzeczy wystrzału, bo to odrazu nie idzie, — n. p. nie pytaj: „który ojciec przeklnie syna”, ale przeciwnie, dodatnio: który po-

blogosławi?... Ale to w formie, jakiej użył, ucho- dzi. To później będzie lepiej.

Pisz mi, czem ci pomóc mogę; nawet daj mi wiedzieć, jak stoisz z groszem; bo po napisaniu tego — to ja wiem, co będzie z tobą. Ale wytrwasz. Biedny sam jestem, ale gorąco chcąc, można dawać i służyć. Tymczasem trwam w modlitwie dla ciebie. Pisz-że mi o sobie, a co do mnie, to na osobnej karteczce i wedle warunków, jakie raz na zawsze w początku listu skreśliłem.

Jeszcze raz przepraszam cię za dwa listy nieporządne i nieopłacone.

Cyprjan Norwid

Racz, proszę cię dla ciebie i dla mnie uważnie przeczytać i pamiętać, bo ci i sobie przykrość zrobić mógłbym.

[Adres:] Monsieur Teophile Lenartowicz à Rome.

Proszę Szanownych Ojców o łaskawe zamieszczenie listu tego w Ich korespondencji z Rzymu i śmiem liczyć na to.

U w a g a w y d a w c y: Autograf w papierach po T. Lenartowiczu, obecnie w zbiorach Pol. Akademji Umiej. Tekst ogłosiłem po raz pierwszy w *Literaturze i sztuce* (dodatku do *Dziew. Pozn.*) 1914, nr. 12.

Część początkowa listu dotyczy jakichś zapewne zamówień malarskich z Rzymu. O nich to zapewne pisał był we wrześniu t. r. do Trembickiej: „Robiłem po raz pierwszy do Florencji, co mię nieeszło, bo z tamtej akademji wyszedłem; robiłem do Rzymu i do Konstantynopola” (*Chimera*, VIII, 390).

W ciągu dalszym mowa o wierszu Lenartowicza *Wygnany do narodu*, drukowanym w formie ulotki (Paryż 1856, druk. L. Martinet, str. 8), a ogłoszonym jako protest przeciwko tym, którzyby chcieli korzystać z amnestji, udzielonej podówczas przez wstępującego na tron Aleksandra II. W wierszu m. i. zwrot: „O, jest tam wielu takich ojców prawych, coby przekleli syna, gdyby wrócił...” Inwektywa na poetów polskich, „genjalnych kłamców”, szczerzących narodowi „gorzkie prawdy”, częściej wracała pod pióro Norwida: zob. np. list do Kraszewskiego z r. 1866 (*Echo Liter.-Artyst.*, 1912).

I N N A J E S I E Ń

Jarsębiny koralowe głaszcze
jesień tutejsza.

a ja rwę na rżyskach strzępy płaszcza,
coraz smutniejsza.

Miedzą idę, co nie znała kosa,
w las się zapuszczam...

Cóż, gdy całkiem innym wabi głosem
litewska puszcza.

A czy bór ten nadniemeński będzie,
miński czy dźwiński
— jego czar taki ciężki pamięci
jak kamień młyński.

Całe moje życie postawione
na onym głazie...

Tych gałęzi, tych gałęzi zielonych
nie nie wymaże.

NA WIDOWNI

Zmiana rządu. — Dziennikarskie zapowiedzi. — Socjologiczny punkt widzenia. — Nasz ustrój „elitarny” i jego możliwości rozwojowe. — Co przyniesie życie.

ZMIANA RZĄDU, jaka się ostatnio dokonała, wywołała większą, niż poprzednie, dyskusję w prasie. Dała poehop do różnych przewidywań, pogłosek, zapowiedzi. Tembardziej warto, oderwawszy się od „aktualno-personalnych kombinacji”, skierować myśl ku socjologiczno-ustrojowej stronie zagadnienia, ku ogólniejszym, niejako, tendencjom i możliwościom, które w rozwoju stosunków politycznych w Polsce coraz bardziej zaczynają już być widoczne. Przedewszystkiem bowiem należy zorjentować się w charakterze i koniecznych skutkach niektórych zjawisk, zrozumieć je, zanim się przystąpi do ich oceny. Trzeba wiedzieć najpierw, gdzie jesteśmy, jeśli się chce prorokować, dokąd idziemy...

Jest znamienne, iż witając rząd p. Kościłkowskiego, dzienniki sanacyjne nie zapewniały stereotypowo, że „wszystko pozostanie po dawnemu”, że „w całości zachowana będzie dotychczasowa linja”, że raz jeszcze nastąpiła, poprostu, „zmiana warty”... Wręcz przeciwnie, na łamach tej prasy właśnie najwięcej bodaj spotykało się napomknięcie o „nowym kierunku i programie”, o potrzebie „ważnych i zasadniczych decyzji” i t. d. Z drugiej strony, wystarczy przejrzeć listę obecnego gabinetu, aby stwierdzić bez najmniejszych wątpliwości, że wszyscy członkowie jego — na tych czy innych kierowniczych w Państwie stanowiskach — należeli w ciągu ostatnich lat dziesięciu do zespołu, dzierżącego niepodzielnie w swych rękach władzę w Polsce. Innemi słowy: dopuszcza się, nawet sugeruje się społeczeństwu myśl o daleko sięgających przeobrażeniach programów politycznych, gospodarczych i t. d.; zmiany te wszakże muszą się dokonywać jedynie wewnątrz grupy rządzącej Państwem i jedynie przez jej członków mogą być wprowadzane w życie...

Takie ujęcie rzeczy jest, oczywiście, zgodne z postanowieniami i duchem obowiązującej teraz Konstytucji, konsekwencją wprowadzonych przez nią urzędzeń. Ideą naczelną, przyświecającą twórcom dzisiejszego ustroju Rzplitej, było zapewnienie ciągłości w życiu państwowem, ciągłości nie w dziedzinie tradycyjnych instytucyj i dążeń, lecz ogólnikowa stylizacja ustawy konstytucyjnej, „ramowy” charakter jego przepisów — umożliwiają ją jaknajwiększą elastyczność w tym zakresie, ale w znaczeniu „niezmienności elity”, dzierżącej władzę. W pierwszych latach po r. 1926 „elita” ta szybko zwiększała się dopływem nowych adwerentów, z biegiem czasu stabilizuje się coraz to bardziej w swoim składzie; w każdym razie uzupełnianie jej szeregów jest — w istocie swojej — zawsze kooptacją...

I tu właśnie zbliżamy się do zagadnień, nie wątpliwie pasjonujących dla socjologa. Jest rzeczą naturalną, iż każda zbiorowość, każda grupa jeżeli ma trwać dłużej niż życie początkowego zastępu jej członków, musi odnawiać się przez nastanie nowych sił, następnych generacyj. W grupach o charakterze t. zw. ideokratycznym (fasyzm, narodowy socjalizm, komunizm) kwestja powyższa

rozwiązuje się dosyć łatwo, przynajmniej w teorii: wychowuje się młode pokolenia w myśl określonej doktryny, a ci, co się nią przejmą najgłębiej, co swoim typem psychicznym, sposobem myślenia i t. p. najlepiej odpowiadają jej ideałom, z konieczności przejmują też z biegiem czasu obowiązki jej realizatorów i wyznawców. U nas, ze względu na wspomnianą wyżej różnorodność programową grupy rządzącej, ewolucja w tym kierunku nie jest możliwa. Byliśmy już świadkami nieskutecznych usiłowań pójścia tą drogą przez tworzenie ruchu ideowego — Legionu Młodych. Trudno przypuścić, by miał ktoś ochotę dalszego kontynuowania tych doświadczeń.

W tych warunkach — ze stanowiska socjologicznego — rozwój stosunków zaczyna zarysowywać się coraz wyraźniej. Jest oczywiste, że „elita”, wytwarzana przy pomocy kooptacji, będzie dobierać się przedewszystkiem z tego środowiska, które jej jest najbliższe, do którego ma zaufanie, z którym związana jest rodzinnie, towarzysko, sposobem życia, obyczajem i t. d. *Via facti* przeto tendencja rozwojowa coraz to silniej popychać ją będzie ku przyjęciu — w praktyce, nie w teorii zasady... dziedziczności. Obserwacja przemian powyższych, szybkości, z jaką się będą dokonywać, wpływu danych form ustrojowych na kształtowanie się organizmu zbiorowego — będzie przedmiotem wyjątkowo ciekawym dla badacza naukowego zjawisk społecznych.

W naszych konkretnych stosunkach rozwój ten będzie przyspieszony przez ustrój szkolny, który, jak stwierdził niedawno p. Kawałkowski („Gazeta Polska”, nr. 256 z. r. b.), zamyka dzieciom wiejskim dostęp do studjów gimnazjalnych i akademickich. Fakt, iż wykształcenie, przygotowujące do wyższych stanowisk w Państwie, będzie, w rzeczywistości, umożliwione tylko młodzieży z pewnych sfer, przy równoczesnem szerzeniu się analfabetyzmu wśród mas ludowych, w ogromnej mierze przyczyni się zarówno do stabilizacji dzisiejszej „elity”, jak, zarazem, i dalszego jej wyodrębnienia.

Równorzędnie, w tymże kierunku, oddziaływać będzie układ stosunków ekonomicznych: państwo, monopolizując coraz bardziej rozdział dochodu społecznego, z natury rzeczy tamuje wzrost niezależnej — poza grupą rządzącą — „elity” gospodarczej, utrudnia samo nawet jej istnienie. Nie trzeba zaś być wyznawcą materializmu, aby stwierdzić rzecz, nie ulegającą wątpliwości, że życie w odmiennych zupełnie warunkach dobrobytu, na odmiennej całkiem stopie życiowej — wydziela daną grupę z reszty społeczeństwa, w swoisty sposób kształtuje jej pojęcia i przyzwyczajenia.

Wreszcie — ważny czynnik w warstwie kierowniczej, opartej na dziedziczności: kwestja małżeństw mieszanych. Można rzec, iż pod wpływem tego czynnika, „elita”, w bardzo znacznym odsetku, już pod względem zewnętrznego nawet wyglądu wyróżniać się będzie z pośród szerokich rzesz narodu odmiennością fizycznego swojego typu. Niewątpliwie ujawnią się też różnice wewnętrzne: instynktu, temperamentu i t. d.

Taka jest... tendencja rozwojowa... Co przyniesie życie?

JAN REMBIELIŃSKI

G Ł O S Y

W NUMERZE Z 14-go B. M. „GAZETY POLSKIEJ” znalazła się korespondencja z Kowna na temat: „Polska i Kłajpeda”.

Temat bardzo aktualny i interesujący sam przez się, a oświetlenie tej kwestji przez korespondenta „Gazety” wprost rewelacyjne. Warto więc choć pokrótce zapoznać się z treścią korespondencji.

Autor, nawiązując do rozmowy p. ministra Becka z min. Łozorajtisem w Genewie, przypuszcza zupełnie słusznie, że dotyczyła ona przede wszystkim Kłajpedy. Nacisk niemiecki na ten ważny port bałtycki zaniepokoił Litwę, która zwróciła się do Polski, jako do jednego z najbardziej zainteresowanych tą kwestją państw, z prośbą o porozumienie. Ale p. Katelbach uważa, że czasy się zmieniły i Polska obecnie, mając port w Gdyni, nie potrzebuje się troszczyć o Kłajpedę. Fakt, że Kłajpeda jest naturalnym portem całej północno-wschodniej połaci Polski, według p. Katelbacha niewiele znaczy. Uważa on, że Litwini sami sobie są winni, gdyż starali się zawsze uzyskaniu należnych nam w porcie kłajpedzkim praw przeszkodzić. Gdy Polska dała pokój daremnym trudom, oni zagadnienie to przypominają. Zapóźno jednak to zrobili, ponieważ Polska, nieposiadająca z Litwą absolutnie żadnych stosunków politycznych, nie związana żadnymi sprawami gospodarczymi z portem kłajpedzkim, nie może zdradzać aktywnego zainteresowania Kłajpedą, a straszaki „korytarzowe” — to dla niej nie pierwszozna.

Same rewelacje! Polska nie ma interesów gospodarczych w porcie kłajpedzkim? Powinna pozwolić Niemcom na zajęcie Kłajpedy? Związany z tem wzrost siły niemieckiej nad Bałtykiem — to fraszka! — Dla nas to podobno nie pierwszozna, a Litwinów trzeba do rozumu nauczyć. Niech na drugi raz z nami nie zaczynają!

Czy to wszystko nie przypomina trochę anegdoty o chłopcu, mówiącym: „Na złość mojej mamie niech mi uszy zmarzną”.

O STATNI NUMER „ROCZNIKA LITERACKIEGO” sporządzając niewesoły bilans naszego piśmiennictwa za rok 1934-ty, w dziale twórczości dramatycznej pocieszał czytelników błogimi nadziejami, obiecanką obfitego plonu, jaki miał dać konkurs ogłoszony przez Akademię Literatury. Nadzieje „Rocznika” podzielaliśmy — przyznajmy — wszyscy. Jeden z komunikatów sądu zastrzył jeszcze naszą ciekawość, podając do publicznej wiadomości, że pod adresem pałacu Potockich nadesłano około trzystu rękopisów, ściślej — 287.

Niema co, liczba wcale pokaźna. To też zabrała ona sporo czasu poszczególnym sekcjom. Wreszcie oznaczono dzień otwarcia kopert. I tu nagle wynik przez największego nawet pesymistę nieprzewidziany — góra urodziła mysz, maleńką, szarą mysz.

Z tych paru setek rękopisów zakwalifikowano do wspólnego czytania wszystkim członkom

sądu zaledwie... 15 utworów. „Po odbyciu szeregu posiedzeń, poświęconych dyskusji nad wyróżnionymi sztukami” — podaje prasa — „sąd konkursowy przyszedł jednomyślnie do przekonania, że żaden z nadesłanych utworów nie zasługuje na odznaczenie 1-szą nagrodą”.

Fakt nieprzyznania pierwszej nagrody ma w sobie coś symptomatycznego. Nie przypuszczaliśmy jednak, mimo wszystko, iż zapadła ona jednomyślnie.

„Ponieważ regulamin konkursu” — czytamy dalej — „zawierał postanowienie, że II-a i III-a nagroda będzie bezwzględnie przyznana, postanowiono większością głosów przyznać: drugą nagrodę w wysokości 3.000 zł. dramatowi p. t. „Bogoburcy” oznaczonemu godłem „Her Armeńczyk”, trzecią nagrodę w wysokości 2.000 zł. komedji „Dowód osobisty Zebrzydowskich”, oznaczonej „Antoni Andrzej”. Po otwarciu koperty okazało się, że autorem dramatu „Bogoburcy” jest Jerzy Ostrowski, autorką zaś komedji p. t. „Dowód osobisty Zebrzydowskich” jest Marja Jasnorzewska (Pawlikowska)”.

Trudno jest dzisiaj sprawdzić wartość nagrodzonych sztuk, dlatego też nie wiemy, jak traktować zamieszczenie w komunikacie wyjątków z konkursowych warunków: „Ponieważ regulamin konkursu zawierał postanowienie, że II-a i III-a nagroda będzie bezwzględnie przyznana, postanowiono większością głosów przyznać”...

I wreszcie jeszcze jedno zdanie: „Poza sztukami nagrodzonymi nie wyróżniono żadnych utworów”. Wyraźnie: żadnych.

A jakiż był plon teatrów stołecznych w ubiegłym sezonie? Pięć największych, „zglejchszaltowanych” teatrów T. K. K. T. wystawiło „Krysię” Szaniawskiego, „Egipską pszenicę” Jasnorzewskiej i gorszą od tamtych sztukę Choromańskiego „Człowiek czynu”. Pozatem „Taniec” Grubińskiego oraz „Cudzik i S-ka” Kiedrzyńskiego. Kropka. Pozatem na innych już scenach groteskowy występ Kruczkowskiego i jedna, jedyna naprawdę ciekawa rzecz — „Teorja Einsteina” Cwojdzńskiego.

Spytajmy o horoskopy na przyszłość. P. Arnold Szyfman w miesięczniku „Teatr”, omawiając sprawę polskiego repertuaru, pisze: „Ten stan rzeczy będziemy się starali za wszelką cenę poprawić, uważając repertuar polski za kamień węgielny rozbudowy teatru polskiego”.

Styl państwowotwórczy że i lepszego nie potrzeba. Jak się przedstawia jednak owa „rozbudowa”?

W zapowiedziach repertuarowych T. K. K. T. ani jednego debiutu, a z nowych nazwisk jedynie p. Janina Morawska, autorka granego w teatrze Solskiej na Żoliborzu „Sobowtóra”. Całe szczęście, że Malicka gra u siebie nową sztukę Cwojdzńskiego!

Co tu dużo mówić... Jest źle. Bardzo źle. Czemu to przypisać? Brak talentów? Nie sądziłmy. Raczej brak klimatu, w którymby dojrzewały. Coś jest w atmosferze takiego, co nie sprzyja pracy twórczej.

Bijemy na alarm?...

Kogo bić?

NAUKA i LITERATURA

Ś. P. ALFRED VALLETTE

TELEGRAMY z Paryża donoszą o śmierci ś. p. Alfreda Vallette'a, założyciela i kierownika sławnego w całym cywilizowanym świecie miesięcznika „*Mercur de France*”. Ś. p. Alfred Vallette przeżył lat siedemdziesiąt siedem. Urodził się w Paryżu w r. 1858. Przed założeniem „*Merkurjusza*” wydawał przez pewien czas pismo literackie p. t. „*Le Scapin*”. Nie cieszyło się ono zbyt wielką poczytnością i po ukazaniu się dziewiątego numeru zostało zawieszono. Wydawca jego jednak, zapalony miłośnik literatury pięknej, nie zrażony tem niepowodzeniem, zorganizował w roku 1890, przy pomocy grona przyjaciół, wydawnictwo „*Mercur de France*”, które mu przyniosło fortunę i sławę. Najbliższymi jego współpracownikami w owym wydawnictwie byli początkujący przeważnie podówczas pisarze: Ludwik Dumur (niedawno zmarły), Alfred Aurier, Edward Denise, Jan Court i Ernest Reynaud. Z wyjątkiem tego ostatniego wszyscy oni zdążyli już wymrzeć. Pierwszy numer miesięcznika ukazał się w dniu 1 stycznia 1890 r. Tytuł „*Mercur de France*” został zapożyczony od wydawnictwa, które istniało we Francji na schyłku osiemnastego wieku. W „*Merkurjuszu Francuskim*” zamieszczały najlepsze utwory Juljusz Renard, Albert Samain, Henryk de Regnier, A. F. Héroid, Remy de Gourmond, Stuart Merrill, Piotr Quillard, Francis Vielé-Griffin i wielu, wielu innych. „*Merkurjusz*” przez długi czas był oficjalnym organem szkoły symbolistów. Pismo to odgrywało wielką rolę nie tylko w swojej ojczyźnie ale i w innych krajach. Za czasów „*Młodej Polski*” czytywano je u nas z zapałem. Referentem literatury polskiej był przez szereg lat na łamach „*Merkurjusza*” Jan Lorentowicz.

Różgłosu i poczytności dorabiał się miesięcznik powoli, ale już w pięć lat po założeniu wydawnictwo było na tyle solidne, iż ś. p. Alfred Valette mógł przy niem zorganizować księgarnię nakładową. Księgarnia owa w krótkim stosunkowo czasie wybiła się na czoło francuskiego rynku wydawniczego. Któż nie zna godła owej firmy: kapelusza skrzydlatego na lasce oplecionej dwoma wężami. W wydawnictwie „*Mercur de France*” wyszło mnóstwo znakomitych dzieł poetyckich i prozaicznych. Najświetniejsi pisarze francuscy z epoki „*fin de siècle*” tam wydali swoje utwory. A oprócz Francuzów, Valette wydawał również chętnie pisarzy zagranicznych. Jemu Francja zawdzięcza spopularyzowanie twórczości Rudyarda Kiplinga i Wellsa.

Wydawnictwo „*Mercur de France*” po wojnie zostało zdystansowane przez konkurencyjną firmę „*Nouvelle Revue Française*”. Nie zaniechało jednak ożywionej działalności. Zawdzięczamy mu nowe kompletne wydanie dzieł Juljusza Laforge'a. Ś. p. Valette żonaty był ze sławną literatką Rachilde.

ZE ŚWIATA NAUKI I LITERATURY

W świecie naukowym, zbliżonym do wydziału farmaceutycznego Warszawskiego, powstał bardzo sympatyczny ruch w celu uczczenia zasług emer. prof. Uniw. Bronisława Koskowskiego z powodu 50-lecia jego pracy naukowej. W tych dniach w lokalu Tow. Farmaceutycznego odbyło się uroczyste zebranie, w którym wzięto udział około 300 osób. Obecni byli przedstawiciele duchowieństwa (biskup Szlagowski), rządu, wszystkich uniwersytetów, Tow. Farmaceutycznego, młodzieży akademickiej.

Nie była to odświętna jedynie forma hołdu, była w tym hołdzie żywa treść uczuciowa, dziwnie bowiem uzna-

nie ludzkie łączy się w tym wypadku z szacunkiem i sympatją. Niepospolity ten człowiek przebił się przez życie wielką pracą woli, umysłu i serca. Całe życie się uczył, ale nie tylko wiedzy swojej, — uczył się dobrze robić ludziom i społeczeństwu. Dlatego też jubileusz prof. Koskowskiego ma tak charakterystyczną barwę uczuciową. Wykładnikiem socjologicznym jego stanowiska w społeczeństwie jest miłość, ona bowiem kieruje wszystkimi jego krokami.

Wyrazili to w przemówieniach swoich Hezni mówcy: rektor Pieńkowski, dziekan Achmatowicz, przedstawiciel ministerjum Sobolewicz, profesorowie z Warszawy, Poznania, Krakowa, Lwowa.

Uwieńczeniem prac naukowych, które opublikował jubilat, jest wydane w tych dniach dzieło Br. Koskowskiego „*Dzieje leków*”, niepozbowione znaczenia ogólniejszego, jako ważny przyczynek do dziejów kultury.

Dla młodzieży, która otacza jubilata szczególną sympatją, dla wszystkich zresztą Br. Koskowski jest wzorem niepospytej pracowitości. Niech nam wolno będzie złożyć czeligo donemu jubilatowi życzenia długich lat życia w dosyćce uznania i miłości powszechnej.

We Lwowie powstał komitet, mający za zadanie wznieść pomnik Marji Konopnickiej. Jak wiadomo, Konopnicka zmarła i pochowana jest we Lwowie. W odezwie wskazano adres dla datków na ten cel: Komunalna Kasa Oszczędności we Lwowie (ul. Wałowa 9), konto Komitetu, nr. 82.449.

ZE ŚWIATA SZTUKI

MIĘDZYNARODOWY SALON FOTOGRAFIKI

MIĘDZYNARODOWY Salon Fotografiki, jedynasty z kolei, gromadzi prace 22 narodów. Wystawiają: Anglja (66 fotografii), Austria (31), Belgja (4), Chiny (8), Czechosłowacja (8), Finlandja (2), Francja (2), Grecja (2), Italja (6), Japonja (2), Jugosławja (18), Kanada (1), Łotwa (4), Niemcy (80), Norwegja (3), Polska (147), Południowa Afryka (6), Rumunja (1), Stany Zjednoczone (40), Szwajcarja (9), Szwecja (3), Węgry (51). Oprócz tego w dziale polskim mieści się również zbiór 21 eksponatów Państwowej Koedukacyjnej Szkoły Fotograficznej w Warszawie.

Jak widać z powyższego spisu, niektóre państwa przysłały na wystawę za ledwie swój bilet wizytowy. Niewiele zapewne straciliśmy z tego powodu, jeśli chodzi np. o Łotwę lub Rumunję, żałować natomiast należy, iż tak samo postąpiła Francja, o której wiemy, że posiada dobrych fotografików i ma wiele ciekawych rzeczy do pokazania. W tych działach, gdzie ilość prac jest wystarczająca do urobienia sobie na ich podstawie pewnego sądu, pragnęlibyśmy odnaleźć również cechy odrębności narodowej. Niestety, różnice między fotografią niemiecką, polską i angielską np. nie sięgają tak daleko, aby znamiona odrębności dały się od razu i z łatwością wyłowić. Stwierdzamy tylko, że Anglicy, w stosunku do nas i do innych, są bardziej konserwatywni, zarówno w temacie jak i jego ujęciu. Zato w szczyptym dziale Chin daje się jeszcze raz zaobserwować szkodliwy wpływ europeizacji. Estetyka fotografików wyrosła w znacznej mierze na pojęciach ukształtowanych w tym zakresie przez artystów-malarzy. Tak rozumując, należałoby się spodziewać po fotografice Chińczyków tyle egzotyki, ile jej jeszcze dziś ma i mieć może chińskie malarstwo. Tymczasem nic podobnego. O całej „chińskości” tego działu świadczą dwie podobizny młodej Chinki (do półaktu) i fotografia fragmentu ornamentacyjnego z brązu.

Charakterystyczny też dla całego ogółu wystawców jest wybór tematów. Wynalazczość fotografików w tym zakresie jest bardzo nikła i większość tradycyjnie już nie wychyla nosa poza ten sam, ciągle oglądany, światek. Głowy, jako typ, portret, pejzaż, fragment miejskiej, przeważnie za- bytkowej, architektury, czasem akt, prawie zawsze kobiecej, czasem obrazek rodzajowy, od czasu do czasu martwa natura, ale to już rzadko. Jeśli głowa, to przeważnie malowniczego staruszka lub staruszki; dla fotografików widocznie „życie zaczyna się po sześćdziesiątce”, gdyż młodzież obojga płci i ludzie w sile wieku jakoś przeważnie uchodzą ich uwadze. Proponuję na pewien czas do portretu jakąś głowę brzydką, ale wyrazistą, młodej kobiety. Milutkim bobaskom też dajcie spokój. Dlaczego akty są zawsze upozowane i to przeważnie banalnie? My, malarze, męczymy się, by zniszczyć w modelu szablon upozowania i wykrzesać z niego bożą iskrę bezpośredniości, a wy fotograficy, podpatrując życie, macie — ach jakże ceną! — możliwość chwytania na kliszę aparatu jego najtajniejszych, przelotnych odruchów i lekkomyślnie marnujecie tę okazję!

To samo dotyczy portretu. Jeśli nie chodzi w nim tylko o oddanie plastyki bryły w jej pewnym wyrazie, jeśli pod uwagę ma być brana cała postać lub pół postaci, lepiej polować na jakiś ruch lub gest wymowny, a charakterystyczny dla osoby portretowanej. W naturze aparatu leży możliwość szybkiego notowania rzeczywistości, trzebaż u licha wyciągnąć z tego faktu odpowiednie wnioski.

Dalej: dlaczego tak mało na wystawie (a raczej niema wcale) zdjęć na temat sportowy? Czyżby już to był temat zbanalizowany w plastyce? Wydaje mi się, iż raczej ledwo rozpoczęty. Fotografia w tym zakresie może być pomocą nauce (analiza ruchu), magazynem niezliczonych możliwości póź dla artysty, darzycelem nowej rzeczywistości dla fotografiki.

Zamiast stałego nadużywania, jako tematu, pejzaży lirycznych, nastrojowych i sielankowych, wartoby również poświęcić trochę więcej uwagi maszynom, fabrykom, warszatom pracy ludzkiej i wogóle technice. Tematy z tego zakresu, o bogatej i skomplikowanej zawartości plastycznej, są zazwyczaj trudnym, a często niewdzięcznym zadaniem dla malarza: notowanie skrupulatne wszystkich szczegółów nadaje obrazowi suchość niearty- styczną protokułu, uogólnianie — stwarza obraz fałszywy.

Tu jest właśnie wdzięczne pole dla pracy fotografika. Wnętrza fabryk, buty, hale z maszynami — wszystko to posiada własną poetycką wymowę i czeka na Piranesiego fotografiki.

Oko ludzkie, obejmując jakiś obraz spojrzeniem, przeocza w nim wiele szczegółów, aparat fotograficzny notuje wszystko i z taką wnikliwą dokładnością, o którą artysta musiałby się specjalnie starać i której w takim stopniu nigdyby nie osiągnął. Z tego wniosek: fotografik, zamykając jakąś treść w prostokącie obrazu, powinien w nim umieścić — trawestując popularną piosenkę — „albo bardzo dużo, albo bardzo dużo, albo prawie nic”. Fotografik może np. cały prostokąt obrazu od dołu do góry, zapełnić widokiem ławy piasku; aparat, oddając z niesłychaną dokładnością wszyst-

kie (nie istotne w malarstwie) szczegóły jej nawierzchni, przybliży ją ku naszym oczom i ukaże jako nową, a przeto interesującą rzeczywistość. Tak samo może pokazać naskórek wszelkich innych rzeczy, fakturę materiału. Malarzowi, dzięki innym środkom interpretacji malarskiej, taki temat nie odpowiada i w jego relacji plastycznej artystycznie wcale by się nie tłumaczył.

Niektórzy fotograficy w mniemaniu, iż samo zdjęcie jest w zasadzie zamało artystyczne, starają się upodobnić odbitkę fotograficzną do jakiejś innej techniki, np. rysunku kredką; drudzy przy sporządzaniu odbitki wyczyniają przedziwne sztuczki, żeby choć trochę „ręcznej roboty” dodać do pracy aparatu. Wstydzą się, że to aparat, a nie oni utrwalają pewną rzeczywistość. Jeśli jednak już po zdjęciu robi się rozmaite szacherki z odbitką, to lepiej było od razu cały obraz samemu narysować!

Fotografika jako sztuka jest umiejętnością użycia aparatu fotograficznego. Aż do chwili „pstryknięcia”, praca fotografika niczem się nie różni od pracy każdego innego artysty. A więc: wybór motywu, jego zobaczenie (punkt widzenia), kompozycja, rozmieszczenie tematu w prostokącie obrazu — o tem wszystkim fotografik musi sam zdecydować: i tu właśnie ma sposobność wykazać, czy jest artystą, czy nie.

Ponieważ wzrost ludzki waha się w granicach 2 metrów, a siła naszego wzroku jest też ograniczona, stale oglądamy świat z tej samej wysokości i ogarniamy spojrzeniem tą samą jego część. Trzeba się położyć na ziemi (np. w lesie), albo wzniesć się ponad zwykle nam dostępną wysokość, aby zobaczyć świat z innej, nieznaniej jeszcze strony, ujrzeć go jakby nanowo. Wagę tej nowej treści wizualnej, jako źródła nowych wrzuceń plastycznych, doceniają w pełni artyści i temu właśnie zawdzięczamy rozliczne ujęcia z góry, z lotu ptaka, w filmie, w plakacie, a częściowo także w obrazie. Możliwości spojrzenia od dołu, tuż przy samej ziemi, są jeszcze mniej wyzyskane i to jest wdzięczna rola dla fotografika, który potrafi (w zdjęciu) zdźbło trawy podnieść do godności drzewa, a z konika polnego uczynić bestię apokaliptyczną. Panowie fotograficy, wzywamy was, byście rozszerzyli pole naszego widzenia!

WIKTOR PODOSKI

F I L M

CAPITOL: „Wacusi”, reż. M. Waszyński. Rzecz zrobiona pośpiesznie i niedbale, na kolanie. Pomysł, w zasadzie dobry, (znowu „rozdwojenie jaźni”, tym razem u Dymyzy) nie został wyzyskany, dowcip autorów skończył się na długim przed końcem filmu. Wobec tego kazano Dymszy ciągle zmieniać garderobę. Pan Grabowski laził nawet na czworakach, również dla uratowania sytuacji, ale jakoś nikt nie chciał się śmiać. Jedynie pani Cwiklińska zachowała rasę i klasę.

A mogła to być rzecz niezła, sądząc po oddźwięku na widowni, odpowiednia dla młodzieży szkolnej. Młodzież sympatycznie przyjęła Dymszą, zabawnego w roli uczniaka i czekała co będzie dalej? Dalej powinny być rozmaite zakłamanie i śmieszne sytuacje, jako naturalny wynik przebrania się dorosłego za chłopca; tego jednak nie było. Więc Dymsza rozebrał się i przebrał się, potem przebrał się i rozebrał się, i tak dokola Wojtek, póki nie zapalono świateł na sali.

Zdjęcia również niedbale i fotografia kiepska pod względem artystycznym.

KANDYD

POKŁOSIE

NOWOŻYTNA PLAGA

ZALEDWIE wkroczyliśmy w okres wojny i to bardzo od nas dalekiej, a już możemy stwierdzić, jak obfita nawałnica wszelkich bredni spada codziennie z łamów prasy, zwłaszcza tańszej, obliczonej na mniej krytycznego czytelnika, na prawie bezbronne mózgi mas. Wiadomości takie, jak mobilizacja trędowatych, atak małp, który rzekomo zmusił całą kolumnę wojska do rozwinięcia się w szyk bojowy, łowienie czołgów w pułapki na lwy, przyezem według jednego dziennika zwołano w ten sposób jeden czołg, inne zaś są hojniejsze i donoszą o dziesięciu — sypią się jak z rękawa i zmuszają do zastanowienia się nad fatalnym kierunkiem, w jakim idzie rozwój nowoczesnej prasy, stającej się istotną plagą naszych czasów.

Można, oczywiście, przyglądać się temu z filozoficznym spokojem i zabawić się nawet widokiem bezgranicznej prawie pojemności ludzkiej na głupstwo, lecz zabawa taka jest niebezpieczna, gdyż za tem głupstwem może i często idzie prawdziwa zbrodnia.

Prasa stała się potężnym środkiem nie tylko informowania, ale również urabiania opinii, kieruje nią według swej woli, pobudza namiętności mas, waży więc bardzo wybitnie na wzajemnych stosunkach między narodami. Nie jest też bynajmniej obojętne, w czyich takie narzędzie jest rękach, jakimi zasadami się w swej działalności kieruje, jakie siły moralne je ożywiają.

W rozmaitych krajach stosunki pod tym względem są bardzo różne, ale nigdzie nie są całkowicie dobre. Dominująca nad wielką częścią świata i nadająca poniekąd ton prasa anglosaska zorganizowana jest w wielkie przedsiębiorstwa przemysłowo-handlowe, tak że stanowisko dzienników jest tam zależne od woli i każdorazowych interesów niewielu t. zw. magnatów prasowych. Można powiedzieć, że prasa ta, świetnie pod względem technicznym wyposażona i ze starannie utrzymywanymi pozorami niezależności i obiektywizmu sądów, jest pod przemożnym, jeżeli nie wyłącznym, wpływem wielkich finansów i powolną ich interesów służką. Gdzieindziej organizacja podobna nie jest tak ściśle przeprowadzona, jednak naogół dziennik prawdziwie niezależny, traktujący sprawy publiczne według istotnych przekonań i najlepszego zrozumienia piszących w nim publicystów, jest w dzisiejszym świecie rzadkością, a głos takich organów jest słaby i rozechodzi się niebardzo donośnie, przygłuszany potężną wrzawą pism, wydawanych przez milionowe firmy wydawnicze. Fałszowanie opinii odbywa się powszechnie i na wielką skalę, a pewno najniewinniejsze w tem jest polowanie na niewybredną sensację w rodzaju owych trędowatych, podejmowane w pogoni za groszem.

U nas na tem polu, jak i na wielu innych, „ludzie by się znaleźli, tylko kanału niema”, t. zn. stosunki są o wiele skromniejsze i może nawet nieco zdrowsze ze względu na to, że część przynajmniej prasy jest wydawana przez stronnictwa polityczne, nie zaś przez przedsiębiorców prywatnych, a więc przez instytucje, mające pewne oblicze moralne i niosące większą odpowiedzialność, niż jakiś prywatny spekulant. Tem nie mniej na stosunki prasowe u nas powinna opinia więcej zwracać uwagi, więcej się niemi interesować i popierać prasę niezależną.

Opinia jest jednak często wobec zręcznego *camouflage'u* bezradna i oczywiście piecza nad moralnym zdrowiem prasy leżeć powinna przede wszystkim na samych tej prasy pracownikach i właściwie tylko oni jedni mogą utrzymać prasę na odpowiednim poziomie, utrzymać w niej dobro publiczne na naczelnem miejscu i zapobiec skutecznie przemianie organów opinii publicznej na narzędzia prywatnych, często bardzo ciemnych interesów. Droga, jaka do tego celu prowa-

dzi, jest tylko odpowiednia organizacja dziennikarzy i publicystów, traktujących swój zawód jako wysokie i odpowiedzialne powołanie.

Istnieją oczywiście u nas organizacje dziennikarzy, lecz te nie wystarczają. Oddają niejednokrotnie usługi swym członkom w ich pracy zawodowej, jednak nie postawiły moralnej strony tego pięknego zawodu na należytej wysokości, traktując go przeważnie raczej z czysto fachowej, rzemieślniczej strony. Nie należy się oczywiście ludzi, żeby taka idea organizacja dziennikarzy, stawiająca wysokie wymagania swoim członkom i kontrolująca ich działalność, mogła objąć wszystkich pracowników prasowych, ale to też nie jest wcale konieczne. Wystarczy żeby się utworzył tylko poważniejszy ośrodek, skupiający takich ideowych pracowników pióra, a narzuci on niewątpliwie, przynajmniej częściowo, swój „standard” pojmowania powołania i obowiązków publicysty, i będzie mógł przede wszystkim dać opinii publicznej należyłą orientację w tych sprawach.

Takie ujęcie tych spraw w swe ręce przez samych dziennikarzy jest u nas bardzo na czasie i jest jedyną drogą do podniesienia poziomu i utrzymania prasy na właściwym kierunku. Jasne jest bowiem, że inna ingerencja, np. państwa, sprowadziłaby tylko jeszcze gorzsze stosunki. Koledzy po piórze powinni o tem pomyśleć. Społeczeństwo niewątpliwie oceni ich wysiłki, poprze i będzie im wdzięczne.

ARGUS

NA MARGINESIE

Jeden z dzienników warszawskich urządził ankietę. Według książki telefonicznej zapytuje każdego dwudziestego abonenta: Proszę powiedzieć tak albo nie: czy Włochy mają prawo moralne zająć Abisynję? Przyczem wyjaśnia, że jest to ankieta z dziedziny moralności...

Radzilibyśmy przeprowadzenie innej ankiety z dziedziny moralności...

— Tak czy nie: Czy czynniki miarodajne mają prawo lekceważyć opinię publiczną?

Mamy na myśli wypadek w Zakopanem z ową kolejką. Instytucja publiczna założyła protest w postaci podania się do dymisji całego zespołu bardzo poważnych obywateli. Odezwały się w prasie bardzo ważne argumenty i protesty. Co więcej: — zarzuty, rzucające cień na tych, którzy sprawę decydowali.

Na to żadnego odgłosu. Nikt nie odpowiada, nikt nie słyszy. Głos społeczeństwa nie dochodzi do wyżyn, jak owe „psie głosy, które nie idą w niebiesy”.

Dobrze się złożyło, że ten fakt przypadł na czasy, kiepogarda nizin uznana jest za cnotę polityczną, bo inaczej mogliśmy przypuścić, że to milczenie wynika z zakłopotania.

Tak — czy nie?

W tych dniach wyjdzie z pod prasy nowa książka

ZYGMUNTA WASILEWSKIEGO

ASPAZJA i ALCYBJADES

Z dziejów powieści warszawskiej.

Cena zł. 3 (z przesyłką).

Autor i nakładca uprasza o kierowanie zamówień na książkę powyższą do administracji „Myśli Narodowej” (Al. Jerozolimskie 17) lub do redakcji (Mokotowska 11). Konto w PKO: „Myśl Narodowa” nr. 3.105.

Tamże tegoż autora „Norwid”. Cena zł. 5.

CZAS ODNOWIĆ PRENUMERATĘ NA

„**MYŚL NARODOWA**”

ZA KWARTAŁ IV

PRENUMERATA WYNOŚI:

do końca roku . . . 9 zł.

Można również przysyłać prenumeratę do 15 zł. — bezpłatnie za pośrednictwem blankietów rozrachunkowych, które można nabywać na poczcie w cenie 1 grosza.

JUDAICA

DIDIER STAN. Rola neofitów w dziejach Polski — Cena zł. 2.50

Dla prenum. „Myśli Nar.” — zł. 1.50

KRASNOWSKI ZBIGNIEW. Światowa polityka żydowska — Cena zł. 4.—

z przesyłką — zł. 5.—

SNOPEK KAZIMIERZ. Zmienianie nazwisk. — Cena zł. 2.—

Do nabycia w Administracji
„**MYŚLI NARODOWEJ**”

Warszawa, Al. Jerozolimskie 17.

Należność można wpłacać na konto czekowe
P. K. O. „Myśli Narodowej” Nr. 3105.

LEKCJE GRY FORTEPIANOWEJ

JANINA PIEŃKOWSKA

UL. MOKOTOWSKA 29 m. 3

WARSZAWA

TEL. 8-47-89

WAŻNE WSKAZANIA

ROMAN RYBARSKI
PODSTAWY NARODOWEGO PROGRAMU
GOSPODARCZEGO

Cena zł. 2.50

Do nabycia we wszystkich księgarniach.
Skład główny w Domu Książki Polskiej.

Nagrodzoną przez

POLSKĄ AKADEMJE UMIEJĘTNOŚCI

książkę

ZYGMUNTA WASILEWSKIEGO

N O R W I D

Str. 248. Cena zł. 5 (z przes.)

NABYWAĆ MOŻNA W ADMINISTRACJI

„**MYŚLI NARODOWEJ**”

AL. JEROZOLIMSKIE 17

KONTÓ P.K.O. Nr. 3.105

TREŚĆ:

Sejm bez jutra *M. Grzegorzycy* — Rzym i Judea *K. M. Morawskiego*. — O „władzy żydostwa nad światem” *Z. Krasnowskiego*. — Bankructwo ustroju szkolnego w Polsce *St. Rymara*. — Listów Norwida garść druga (podał *St. Piłgoń*). — Inna jesień *K. W. Iłakowiczówny* — Na widowni *J. Rembickiego*. — Głosy. — Nauka i literatura („*Śp. Adolf Vallette*” i t. d.) — Ze świata sztuki *W. Podoskiego*. — Film *Kandyda*. — Pokłosie *Argusa*. — Na marginesie.

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: **ZYGMUNT WASILEWSKI**.

Redaktor odpowiedzialny: **JAN REMBIELIŃSKI**.

Drnk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80.

PRZESYŁKA POCZTOWA OPLACONA RYCZAŁTEM.